



Pukać trzy razy
Muriel Jensen

WALENTYNKI '98

Tytuł oryginału: KNOCK THREE TIMES



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Tu firma Gift Hunter. Mówi Lindy, czym mogę służyć?

Słyszając głos młodej asystentki, Jade Barclay podniosła z niepokojem wzrok znad czerwonego aksamitnego pudełka wyłożonego białą bibułką. Nie zamierzała wcale wyręczać Lindy, lecz wiedziała, że jeśli w odpowiednim momencie tego nie zrobi, z pewnością nastąpi katastrofa.

Gift Hunter dostarczyła ostatnio pewnej przerażonej siwowłosej kobiecie białą wełnianą kózkę. Gdy odebrały telefon z reklamacjami, okazało się, że mąż owej pani zamawiał białą wełnianą bluzkę.

Lindy oczywiście przeprosiła za swój błąd, jednak już kilka dni później przestawiła dwie ostatnie cyfry w innym adresie i w efekcie przesyłka z żelem do masażu erotycznego trafiła do głowy Kościoła Episkopalnego. Żona duchownego długo uświadamiała później Jade na temat rozlicznych niebezpieczeństw, na jakie narażona jest w drodze do zbawienia człowiecza dusza.

Po tej wpadce Jade zmieniła reguły obowiązujące w biurze: Lindy mogła przyjmować zamówienia telefoniczne jedynie wtedy, kiedy starszej koleżanki nie było na miejscu.

- Rozumiem. Myślę, że poradzimy sobie z tym, panie

O'Brian - mówiła teraz do swego rozmówcy, a Jade zastanawiała się, czy już powinna przejąć słuchawkę, czy może jeszcze zaczekać. - Proszę chwileczkę poczekać, zaraz sprawdzę. - Lindy zakryła ręką mikrofon, spoglądając pytająco na szefową. - Potrzebuje na jutro cztery prezenty. Pyta, czy damy radę je dostarczyć, skoro za cztery dni są walentynki.

Oczywiście, że było to niemożliwe. Jade rozejrzała się po salonie. Pomieszczenie służące za biuro Gift Hunter (a tak naprawdę jej prywatne mieszkanie) zawałone było całkowicie kwiatami, słodyczami, negligami, erotyczną bielizną dla pań i panów i tysiącem innych upominków, które trzeba było zapakować i dostarczyć zgodnie z życzeniami klientów.

Tak, co roku przed walentynkami miałyby dość pracy nawet dla trzech osób. Nie mówiąc już o tym, że i tak trzeba było poprawiać wszystko, czego tknęła się Lindy.

Lecz jeśli to Jack O'Brian...

Jeśli to Jack O'Brian, wszystko inne było nieważne.

Jade zamknęła wieczko pudełka i ruszyła do telefonu.

O'Brian korzystał z usług firmy jedynie raz, kilka miesięcy temu. Następnego dnia wyjeżdżał na pracowity weekend do domku wypoczynkowego swego klienta i potrzebował jakiegoś niezobowiązującego, choć eleganckiego stroju. Zapamiętała, że miał głęboki, dźwięczny głos; jego barwę porównać można było do gęstego ciepłego miodu czy płynnego złota.

Potem zadzwonił jeszcze raz, podziękował i powiedział, że bardzo podobają mu się rzeczy, które mu dostarczono. Dopiero kiedy odłożył słuchawkę, Jade uświad-

domiła sobie, jak ryzykowne były decyzje, które podjęła, by zrealizować jego zlecenie. Jack złożył dość ogólne zamówienie, musiała więc zaufać swemu instynktowi. Na podstawie jego głosu wyobraziła sobie, jak musi wyglądać: wysoki, elegancki, przystojny, i zamówiła firmowe ubrania Calvina Kleina - czarne spodnie, sportawą koszulę i wiatrówkę. I udało się.

Tak, doskonale pamiętała ten głos. Czasami, w środku nocy, wydawało jej się, że słyszy wypowiedane przezeń szeptem swoje imię.

Wzięła słuchawkę od Lindy.

- Panie O'Brian - odezwała się znamionującym kompetencję głosem - proszę powiedzieć, co konkretnie interesowałoby pana?

- Ach, to panna Barclay?

Hm, no proszę, nawet ją zapamiętał. Aksamitny głos sprawił, że zrobiło się jej cieplej na sercu.

- Tak, to ja. Słucham, panie O'Brian.

- Przepraszam, że dzwonię tak w ostatniej chwili - usłyszała szelest przekładanych papierów - ale zajmuję się właśnie sprawą, która całkowicie mnie pochłonęła.

Jade wiedziała, że jej rozmówca jest prawnikiem. Tamte ubrania dostarczyć miała do kancelarii na High Street, była więc w jego biurze, choć jego samego nie spotkała. Zostawiła zamówione rzeczy u atrakcyjnej sekretarki w średnim wieku.

- Nic nie szkodzi - zapewniła - wyręczanie klientów w pilnych zakupach to właśnie moja praca. Muszę tylko wiedzieć, czego tym razem panu potrzeba, żeby zorientować się, czy będę mogła spełnić pańskie oczekiwania.

- Już mówię... - przerwał na chwilę. - Więc tak: barchanowa koszula nocna dla matki... - Jade uśmiechnęła się do siebie. Najwyraźniej odczytywał prezenty ze swojej listy. - Potem weekend w Seafoam Lodge dla mojej siostry Diane, kolacja u Brightonów dla drugiej siostry, Donny...

- Rezerwacja na dwie osoby? - Jade pochyliła się nad biurkiem i podtrzymując słuchawkę ramieniem, notowała skrzętnie.

- Tak. Posyłam z nią przyjaciela, żeby dotrzymał jej towarzystwa. Mam nadzieję, że posiedzą tam trochę - roześmiał się cicho.

Swata swoją siostrę. Podobało jej się to nawet.

- W porządku, rezerwacja dla dwojga. A czwarty upominek?

Odchrząknął z zakłopotaniem.

- Coś z czarną koronką...

Serce Jade skurczyło się boleśnie, lecz po chwili przejmujący ból zamienił się w spokojne rozczarowanie. Ma kogoś. Czy powinna się dziwić?

- Negliz? - spytała.

- No... niezupełnie. Nie znam się na tym za bardzo - znów odchrząknął. - Chodzi mi o te jednoczęściowe komplety, wie pani... stanik i majtki połączone razem.

- Body?

- Aha. Chyba tak to się nazywa - odezwał się już pewniejszym tonem. - Chciałbym, żeby wszystko dostarczono jutro pod adresy, które poda pani moja sekretarka. To znaczy - z wyjątkiem tego body. To chciałbym odebrać u siebie w biurze.

Jasne, pomyślała Jade, pewnie ma romans z kimś z biura albo prosto z pracy idzie na randkę. Najpierw kolacja w jakiejś restauracji, a potem... Zresztą może nawet nie będzie zwracał sobie głowy jedzeniem.

- W porządku, zanotowałam. Zadbam o wszystko, panie O'Brian - zapewniła z przekonaniem.

- Dziękuję, panno Barclay. Będę zobowiązany.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie O'Brian.

Dobre sobie, pomyślała, odkładając słuchawkę. Jack

O'Brian z pewnością będzie miał znacznie więcej przyjemności od niej.

- Co to za jeden? Gada jak jakiś naiwniak - skomentowała Lindy, przewlekając złoty sznureczek przez dziurki w karnecikach, które Jade wycięła wcześniej z czerwonego brystolu. - Szkoda, że Brad Ktt nie zadzwonił ze zleceniem zakupów dla Gwyneth - westchnęła tęsknie.

Jade tymczasem już przeglądała swój nieodłączny notes. Do Yvette pójdzie po body, do Nightwear Inc. po koszulę nocną.

- Nie, to raczej mu się nie spodoba - skomentowała na głos. - Już prędzej znajdziemy to w Rodeo Drive...

Lindy czujnie uniosła brew, w której tkwił srebrny okrągły kolczyk.

- Rodeo? Gość nie wygląda mi na kowboja. Jade jęknęła tylko.

-Rodeo Drive to najbardziej eleganckie centrum handlowe w Beverly Hills - wyjaśniła cierpliwie. - To nie ma nic wspólnego z końmi - dokończyła.

- O rany - Lindy skuliła się zakłopotana - skąd mogłam wiedzieć?

- Fakt, skoro nigdy tam nie byłaś. - Jade wetknęła listę Jacka do zewnętrznej kieszonki portfela, gdzie trzymała wszystkie zamówienia na dzień następnny, i uśmiechnęła się do asystentki. - A widziałas ten ostatni film z Bradem? Tam dopiero dał popis, nie? - zagadnęła, żeby poprawić humor stropionej asystentce.

Jej samej jednak wcale nie poprawiło to humoru. Poczuli się jak matka, która pociesza nastoletnią córkę, i nagle uświadomiła sobie, ile ma lat. Ech, kobieta w tym wieku nie powinna marzyć ani o Bradzie Pitcie, ani nawet o Jacku O'Brianie...

Lindy tymczasem oparła policzek na dłoni, w jej oczach pojawiło się rozmarzenie.

- Brad zawsze jest świetny. Chciałabym kiedykolwiek spotkać kogoś takiego jak on.

- Na pewno spotkasz - zapewniła ją Jade i naprawdę sama wierzyła w to, co mówi. W przypadku Lindy nie-trudno było o jakiegoś przystojniaka, w przypadku jej, Jade, znacznie gorzej. Co tam, przecież wcale nie zależało jej na nikim. - Może nie spotkasz gwiazdora filmowego, ale na pewno poznasz kogoś cudownego, zobaczysz - dokończyła. - Jesteś śliczną dziewczyną.

Lindy spojrzała z troską na szefową.

- Naprawdę? To czemu ty nikogo sobie nie znalazłaś? Przecież też jesteś śliczna.

Jade uśmiechnęła się pobłaźliwie. Jej pomocnica miała szczególny wdzięk - beztrasko i niepostrzeżenie dla siebie samej umiała zadać swemu rozmówcy kłopotliwe pytanie, wleźć z butami do jego duszy i w swojej naiwności nie spostrzec, gdzie się znalazła. Jade nie krytykowała

jej nigdy za to, twierdząc, że to po prostu dziewczyna z innej planety, jednak Betsy, matka Lindy i sąsiadka Jade z korytarza, podkreślała, że ów szczególny wdźwięk córka odziedziczyła po ojcu, który wyróżniał się tym, że choć grał z oddaniem w futbol na stanowym uniwersytecie w Oregonie, to ani nie zdobywał zbyt wielu punktów, ani nie ukończył uczelni.

- Och, to stara historia, Lin - odparła teraz Jade, grzebiąc w plastikowych szufladkach, gdzie trzymała ozdobne kokardki. - Za szybko żyję, żeby kogoś znaleźć. Przed południem robię zakupy, popołudnia spędzam na pakowaniu i przyjmowaniu zamówień, kilka wieczorów w tygodniu poświęcam na kursy dokształcające...

Lindy nanizła następny karnecik na złoty sznurek.

- Jeśli Gift Hunter zabiera ci tyle czasu, że nie możesz nawet znaleźć sobie faceta, to czemu bawisz się w ten biznes i jeszcze go rozkręcasz?

- Widzisz, Lindy. W życiu właśnie o to chodzi - cierpliwie tłumaczyła Jade. - Starasz się doskonalić, uczyć, robić coraz więcej...

- A nie chciałabyś też więcej kochać?

Jade już miała przyznać, że to w istocie bardzo głębokie pytanie, gdy rozległo się krótkie pukanie do drzwi wejściowych. Po chwili w pokoju pojawiła się pulchna brunetka w szarym wełnianym kostiumie, czyli Betsy Bowers, matka Lindy.

- Cześć, dziewczyny! - przywitała się, obeszła biurko i pocałowała córkę w policzek. Spojrzała na kwiaty, czerwony aksmait i stosy ozdobnej damskiej bielizny. - O rany, jak w burdelu. Tylko gdzie są faceci?

Jade zawiązała kokardę na kolejnym czerwonym pudełku i smętnie uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- Twoja córka właśnie mi wypomniła, że nie mam jeszcze żadnego.

Betsy spojrzała surowo na Lindy.

- To nieładnie tak mówić. Zresztą - zwróciła się do Jade - ja ci mówiłam to samo. I co? Masz może zamiar coś z tym zrobić?

- Mhm, ale zajmę się tym, kiedy Gift Hunter wejdzie na giełdę.

Jade przywiązała wizytówkę do kokardy, zaś Lindy wstała, założyła skórzaną kurtkę wiszącą na oparciu krzesła i zapytała matkę dyskretnie:

- To znaczy kiedy, mamo?

- To znaczy nigdy - wyjaśniła Betsy. Podeszła do kanapy, zainteresowana nagle pewną czerwoną koszulką nocną z jedwabiu, i westchnęła z uznaniem. - No, no... Cudownie byłoby mieć coś takiego. Ale dla mnie trzeba byłoby kupić dwie i zszyć je ze sobą. A wtedy nie byłoby już takie seksy.

Jade przyłożyła bieliznę do przyjaciółki.

- E, nie przesadzaj. Kup sobie po prostu duży rozmiar, a będziesz wyglądać wystrzałowo.

- Nie jestem pewna, czy weszłabym nawet w XL. W ogóle coraz bardziej robię się gruba i okropna.

- Wcale nie jesteś okropna - zaprzeczyła gwałtownie Lindy.

- Jasne, córuś. A teraz idź do domu - łagodnie popchnęła córkę ku otwartym drzwiom. - Przyniosłam mnóstwo chińskiego jedzenia, jest w piecyku, żeby nie

ostygło. Mamy z Jade parę plotecek do obgadania. Ob-
służ się, a ja zaraz przyjdę.

Lindy pomachała szefowej i zniknęła w korytarzu,
Betsy zaś wzięła od Jade koszulkę i odłożyła ją na ka-
napę.

- Siadaj i słuchaj - poleciła. - Za chwilę znów będą
walentynki, a my wciąż nikogo nie mamy. Musimy spoj-
rzeć prawdzie w oczy: być może ja nigdy już nie będę
szczęśliwa, a ty nie znajdziesz czasu dla mężczyzny.

- Daj spokój. To nie o to chodzi, że nie chcę...

- Wiem - przerwała Betsy. - Cudownych facetów
jest jak na lekarstwo. Jeśli zgodzisz się dla kogoś od-
mienić swoje życie, to będzie to musiał być ktoś zupełnie
wyjątkowy. Ja przynajmniej raz do roku umawiam się
na randki i staram się takiego znaleźć.

- No i jak ci idzie? - spytała Jade, choć znała odpo-
wiedź.

- Mniej więcej tak jak tobie.

- Brzmi zachęcająco.

- Niestety. I zawsze kończy się tym, że idę powierzyć
moje smutki Syczuanowi, dokładnie tak jak teraz. Wpad-
niesz do nas? Jest masa pysznego jedzenia.

- Dzięki - Jade zatoczyła ręką krąg, obejmując ge-
stem cały pokój - ale muszę jeszcze to wszystko dzisiaj
zapakować.

- Sama? Nie masz zbyt wiele pociechy z Lindy, pra-
wda? Tylko mów szczerze. - Betsy otoczyła przyjaciółkę
ramieniem.

- Ona bardzo się stara - Jade usiłowała widzieć teraz
tylko zalety płynące z zatrudnienia dziewczyny. - Ma

jednak dopiero szesnaście lat i jasne jest, że musi się sporo nauczyć.

- Tylko że minęły już cztery miesiące, a ona jeszcze się nie wciągnęła, tak?

- Jeszcze się wciągnie - przekonywała Jade, niezupełnie jednak szczerze. - Pewnego dnia zaskoczy i będzie wspaniała. Póki co, fajnie jest mieć ją przy sobie.

- Kolejna bujda. - Nie martw się więc, ja tam w ogóle się nie przejmuję. - Tym razem łągała w żywe oczy.

Uśmiech, który pojawił się na twarzy Betsy, był jednak wart zbrukanego sumienia.

- Dzięki, Jade, Wylewano ją z roboty już trzy razy i jej poczucie własnej wartości legło w gruzach, wiesz, co to znaczy, no nie? Jeśli jednak ktoś będzie miał dość czasu i cierpliwości, żeby ją czegoś nauczyć, to ona będzie świetnym pracownikiem. W gruncie rzeczy to przecież takie dobre dziecko.

- Wiem o tym.

- I uważa cię za cudowną osobę. Wzór do naśladowania.

Jade wzniosła oczy ku niebu i popchnęła Betsy w stronę drzwi.

- Dobra, dobra. Już raczej za zramolałą starą pannę.

- E, nie jesteś jeszcze ramolem, nie przesadzaj.

Jade uśmiechnęła się grzecznie, zamknęła za przyjaciółką drzwi i odwróciła się na pięcie, by znów stanąć twarzą w twarz z miłością. Miłością, której znakiem były wszystkie te upominki, wstążeczki, serdeńka, gatki i czekoladki kupowane przez obcych i dla obcych. Przez chwilę poczuła w sercu ból.

W całym Heaven Harbour w stanie Oregon, ani nawet na całym świecie, nie miała nikogo, kogo mogłaby nazwać rodziną. Jej rodzice zginęli w katastrofie lotniczej, kiedy miała siedemnaście lat; obydwójce byli jedynakami; dziadkowie nie żyli już od dawna; Jade też nie miała rodzeństwa.

Gdy stała się ta tragedia, poprzysięgła sobie, że znajdzie natychmiast wspaniałego mężczyznę, urodzi mu szóstkę dzieci, doczeka wnuków i będzie żyć otoczona liczną rodziną.

Ale nie udało się.

Miała wprowadzić wielu przyjaciół, znajomych, klientów, którzy ciepło o niej myśleli, ale na tych ciepłych myślach się kończyło. Pogodziła się więc z faktem, że jest sama na świecie, lecz jednocześnie uznała, że w takiej sytuacji można normalnie, funkcjonować jedynie wtedy, kiedy się o tym nie myśli. I tak stała się kimś w rodzaju łącznika pomiędzy klientami a ich ukochanymi. Nie myślała o sobie, lecz o innych. I zamiast dla najbliższych, wynajdywała prezenty dla swych klientów.

Czasami jednak, na Boże Narodzenie czy w Dniu świętego Walentego, trzeba było stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością. Teraz właśnie nadszedł taki czas.

Cóż, nie będzie się roztkliwiać.

- Zamiast beczeć - powiedziała sama do siebie - pomyśl lepiej, jak zapakować tę ramę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jack usłyszał nadchodzące dzieci, zanim zdążyły otworzyć drzwi jego biura. Ubrane w szkolne mundurki, kłóciły się zawzięcie. Mógł się założyć, że spór wywołała ośmioletnia Ashley.

Ashley, mała i chuda, cierpiała na najprawdziwszy kompleks Napoleona. Odwróciła się i walnęła brata z całej siły plecakiem w siedzenie. Dziesięcioletni Andy zwałił się na perłowszary dywan z okrzykiem bólu. Osoba postronna pomyślałaby, że umiera, ale Jack wiedział, że jego syn nosi w sobie zadatki na Roberta De Niro i Ala Pacino razem wziętych.

Zadowolona ze skutecznego ciosu, Ashley cisnęła plecak na krzesło dla klientów, po czym wskoczyła Jackowi na kolana.

- Nie uprawiałeś seksu z Natalie, prawda, tato? - Zarzuciła mu rękę na szyję.

Zadziwiło go zawsze, że ta delikatna z pozoru dziewczynka potrafi tak bezlitośnie i precyzyjnie trafiać w sedno.

- Wiesz chociaż, co to jest seks? - zapytał i starając się zyskać nieco na czasie, zajął się wyciąganiem jakichś podejrzanych kłaków z jej włosów.

- Ja wiem! - Andy niespodziewanie ozdrowiał, wstał

i usiadł na krawędzi ojcowskiego biurka. - To jest wtedy, kiedy mężczyzna i kobieta śpią razem.

Chłopiec był sporo wyższy od siostry, lecz tak samo jak ona chudy i żyłasty. W jego oczach wyczytać można było wdzięk i inteligencję. Wprawdzie Ashley w każdej sytuacji usiłowała postawić na swoim, lecz i Andy miał swoje sposoby.

- Przecież nie można niczego robić, kiedy się śpi - zaoponowała dziewczynka.

- Właśnie o to chodzi. - Mały oparł stopę na kolanach Jacka. - Tak naprawdę to wcale się wtedy nie śpi. Oni to tylko tak nazywają.

Ashley ponownie spojrzała ojcu w oczy swymi błękitnymi źrenicami.

- To jak? Spałeś z Natalie?

- Nie - odparł uczciwie. Nie dodał jednak, że ma nadzieję, iż jutro wieczorem będzie mógł odpowiedzieć inaczej.

- A zamierzacie kiedyś to zrobić?

Ashley czekała na odpowiedź, trzymając w ustach koniec jasnego warkocza. Andy natomiast pochylił się w stronę biurka i wyręczył ojca.

- Przypuśćmy, że tak - powiedział. - Ashley uważa, że nie powinienes się z nią żenić. Wiesz o tym?

Jack widywał się z Natalie od czasu weekendu spędzonego w domu jej ojca w Cascades, ale małżeństwo nawet nie powstało mu w głowie.

- Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym. Ale właściwie to czemu nie? Myślę, że dogadalibyście się z Natalie.

- Ona niby jest miła - powiedziała Ashley, machając rytmicznie nogą - ale ja nie chcę takiej mamusi.

- Próbowałem jej wytłumaczyć, że kobieta powinna ci się podobać także jako żona, a nie tylko jako nasza nowa mamusia. - Andy spojrzał na ojca jak mężczyzna na mężczyznę.

- W porządku, dzieciaki. Nie ożenię się nigdy z kimś, kto się wam nie spodoba, zgoda? - Wyciągnął warkocz z ust córeczki i przelożył go przez jej ramię. - A o co chodzi z tą Natalie? - spytał.

Ashley westchnęła.

- Och, chodzi o to, w jaki sposób trzyma mnie za rękę. Pamiętam, jak mamusia to robiła, choć nie przypominam sobie jej twarzy. Jak wychodziłyśmy na ulicę, to ścisnęła mnie tak mocno, że nie mogłam w ogóle się wyrwać. - Znow westchnęła i przekrzywiła główkę. - Lubiłam to, a Natalie tego nie robi. W każdej chwili mogłabym się uwolnić. Gdybym tylko chciała.

Andy wyszczerzył zęby do Jacka - miało to oznaczać, że siostrzyczka przekroczyła granice męskiej tolerancji.

- W takim razie ja - odezwał się - powinienem poszukać sobie mamy, która podnosi ciężary. Może umówisz się na randkę z Sandrą Bullock, tato? Grała kiedyś prawnika, więc miałbyś o czym z nią gadać.

- Niezły pomysł. Zdaje się, że ona potrafi też prowadzić autobus. Przestałbym się martwić, czy zdążycie do szkoły - Jack podchwycił dowcip syna i pośmieli się wspólnie przez chwilę. Potem spoważniał, pocałował córkę w policzek i powiedział: - Może Natalie nie czuje się

jeszcze uprawniona, by trzymać cię tak mocno? Widujecie się przecież dość rzadko.

Ashley spuściła wzrok i bawiła się teraz sznurówką.

- Ty i ona przytulacie się aż nadto. Ale nas nigdy nie obejmuje.

- Pewnie sądzi, że jest na to jeszcze za wcześnie. Dziewczynka kiwnęła głową, lecz Jack wiedział, że chyba nie przekonał swojej pociechy.

Natalie Livingston była prześliczną córką jego długoletniego klienta. Zarządzała własną firmą kosmetyczną, była energiczna, piękna i pewna siebie. Wcześniej nie przyszłoby mu nigdy do głowy, że taka kobieta może być dla niego pociągająca, lub że nim może się zainteresować.

Jego żona była inna. Drobną, pełną naturalnego wdzięku brunetką, zagorzałą domatorką o imieniu Rita, zajmowała się, nie wychodząc z domu, małą poligrafią, zresztą z powodzeniem. Sprawy zawodowe poszły jednak w kąt, kiedy tylko pojawiły się dzieci.

Czasami Jackowi wciąż się zdarzało czuć tak, jakby trzymał ją w ramionach. Częściej jednak skręcał się z bólu, wspominając ów koszmarny moment, gdy dwa lata temu dowiedział się o jej śmierci. Miała zaledwie trzydzieści lat i tak wiele do zrobienia... A jakaś cholerna ciężarówka wioząca cholerne kłody drewna wpadła w cholerny poślizg na cholernej wąskiej drodze.

Nie mógł się z tym pogodzić, lecz z czasem nauczył się panować nad emocjami. Gniew niczego nie ułatwiał, odbierał tylko siły, a przecież oprócz żony były

jeszcze dzieci. Dwójka najfajniejszych pod słońcem urwisów.

Zacisnął więc zęby, przemógł się i jakoś udało mu się wrócić do normalnego życia. A niedawno pojawiła się w nim Natalie, dokładnie - podczas tamtego weekendu, który spędzał w domu jej ojca. Doszedł wówczas do wniosku, że nie byłoby źle pomyśleć o życiu prywatnym.

Czasami myślał sobie, że powinien za to wszystko podziękować niejkiej pannie Barclay z firmy Gift Hunter, która robiła zakupy na życzenie i ratowała w trudnych sytuacjach, kiedy człowiek nie miał pojęcia, kiedy i co uda mu się kupić w prezencie albo po prostu dla siebie. Przyznać jednak musiał, że to czarne ubranko, które mu podesała, było dość okropne i wziął je wtedy ze sobą tylko dlatego, że do wyboru miał prócz niego jedynie garnitur od Armaniego i bawełniane slipy.

I dobrze zrobił, bo oto pewnego wieczoru kilka dni później Natalie oderwała go od biurka, wyciągnęła na randkę i wyznała, że zawsze marzyła o tajemniczym czarnym rycerzu. I oto ten czarny rycerz - czyli on - właśnie się zjawił.

Od tamtej pory byli razem w operze, spotkali się kilka razy na lunchu, w Boże Narodzenie zabrali dzieci na „Dziadka do orzechów”. Było całkiem oczywiste, że dziewczyna chce, by ich kontakty zmieniły dotychczasowy charakter. On również był już do tego gotów. W pewnym sensie.

Czuł się tak, dopóki nie zaczynał się głębiej zastanawiać nad swoimi uczuciami. Wówczas bowiem orientował się, że coś go powstrzymuje przed pełniejszym zaan-

gazowaniem. Nie potrafił jednak ustalić, co konkretnie. Może była to obawa, że nie uszanuje pamięci Rity? A może nie umiał sobie wyobrazić przyszłości z kimś innym niż była żona? Tak czy inaczej, niczego nie mógł postanowić, bojąc się, że gdy wykona ten jeden krok więcej, piętrzone przezeń obawy urosną tylko i odbiorą jego związkowi z Natalie całą świeżość. Może jednak, do licha, powinien w końcu zaryzykować?

Takie niezdecydowanie przyprawiało go o coraz większą irytację, toteż niedawno postanowił rozwiązać ostatecznie ten problem. Ustalili z Natalie, że uczczą walentynki kilka dni wcześniej, bo akurat czternastego ona musiała być obecna na uroczystej gali z okazji otwarcia kolejnego z jej ekskluzywnych sklepów z kosmetykami w San Francisco.

- Tato, moglibyśmy sprawić sobie kota? - Ashley przerwała w nieoczekiwany sposób panujące od dłuższego czasu milczenie.

Jack odchrząknął. Dziewczynka pytała o to trzy razy dziennie od chwili, kiedy dostała na urodziny kasetę z filmem „Thomasina”.

- Kochanie, zbyt często jesteśmy poza domem - odpowiedział. Też powtarzał tę kwestię trzykrotnie w ciągu jednego dnia od czasu tamtych feralnych urodzin. - To nie byłoby w porządku wobec biednego zwierzaka.

- Isabel mówi, że one same się o siebie potrafią zaopiekować. Nie będzie z nim kłopotu. Isabel mogłaby go karmić...

Isabel była gosposią w ich domu.

- No tak, ale wtedy byłby to kot Isabel, a nie nasz
- Jack był dumny ze swojej błyskotliwej repliki.

Ashley usiadła mu na kolanach i załamała ręce.

- Więc to tak? Nie możemy mieć odpowiedniej ma-
musi, a na dodatek ja nie mogę nawet dostać kota?
- Nie mówię, że nigdy go nie będziesz miała. Może
kiedyś do tego wrócimy - Jack uznał, że najlepiej ugła-
skać córkę.

Ona jednak odepchnęła ojca, zeskoczyła na podłogę
i oznajmiła obrażona:

- Czekam w sekretariacie. Gdybyście przypadkiem
wybierali się do domu... - Chwyciła plecak i z łącie kró-
lewską wyniosłością wymaszerowała z pokoju.

Andy pokiwał głową ze zrozumieniem.

- No tak, nie udało jej się cię podejść. A może ja
mógłbym prosić... o psa?

Telefon w Gift Hunter urywał się przez całe po-
łudnie. Jade musiała przerwać na chwilę rozmowę
z Heaven's Harbor Chocolates, by wyprawić Lindy z za-
mówieniem dla Jacka O'Briana i upewnić się, że wszy-
stko jest tak, jak być powinno.

- Myślałam, że sama zechcesz to dostarczyć - po-
skarżyła się dziewczyna, kiedy szefowa wręczyła jej wiel-
ką torbę z upominkami.

- Chciałam - odparła Jade - ale widzisz, że nie mogę
oderwać się od telefonu. Tym razem muszę zdać się na
ciebie.

- A jeśli coś spieprzę?
- Spokojnie, Lindy. Na każdej paczce jest etykieta.

Nie powinnaś mieć żadnych kłopotów. Świetnie się do tego nadajesz. Po prostu zawieź każdy prezent pod adres napisany na pudełku.

- Okay... - Lindy nadal nie była przekonana.

- Aha, wracając, odbierz kwiaty od Castelbauma, w porządku?

- Okay. Rozumiem.

- To świetnie.

- I mam się z nią spotkać dopiero w restauracji? - Ross Mitchell rozsiadł się na krześle dla klientów w kancelarii Jacka. - Czemu nie załatwiłeś tego tak, żebym zabrał Diane z domu?

- Donnę - poprawił Jack, nachylając się nad biurkiem w kierunku swojego przyjaciela i giełdowego maklera w jednej osobie. - Nie Diane, a Donna, zapamiętaj to sobie. Uwierz mi, nie chciałbyś umówić się na kolację z Diane. Ona ma trzyletnich bliźniaków i zazdrosnego męża-inżyniera. A Donna jest artystką i mieszka w Cannon Beach.

- Tak? A co, twoim zdaniem, będą mieli sobie do powiedzenia makler giełdowy i artystka?

- Oboje jesteście trochę stuknięci - Jack uśmiechnął się wyrozumiale - więc dobrze wam będzie razem, zobaczysz.

- Stuknięci, mówisz? No to nie zdziw się, ale właśnie kupiłeś udziały w kopalniach w Kolorado. - Ross zarządził portfelem inwestycyjnym Jacka.

Ten ostatni roześmiał się.

- Lubię was oboje i myślę, że wy też polubicie się

nawzajem. Ona na przykład często zamyka się w swojej pracowni, usiłując odwołać wszystkie spotkania, no a ty jesteś pracoholikiem i też zawsze unikasz znajomych. Po mojemu pasujecie do siebie.

Ross przytaknął, po czym obaj wstali i podali sobie dłonie nad biurkiem.

- W porządku, stary. Dzięki. Jutro dam ci znać, jak poszło.

Jack odprowadził Rossa do windy. Gdy drzwi się rozsunęły, wyszła z niej wysoka, szczupła nastolatka z kolczykiem w brwi i o włosach umalowanych na niebiesko. Mężczyźni spojrzeli po sobie zdziwieni. W końcu Ross wzruszył ramionami, wsiadł do windy i pomachał na pożegnanie.

Gdy Jack wrócił do gabinetu, zastał niebieskowłosą dziewczynę przed biurkiem swojej sekretarki. Najwyraźniej czekała, aż ta skończy rozmowę telefoniczną i będzie mogła się nią zająć.

- W czym mogę pani pomóc? - spytał.

Obróciła się do niego, ze zdumienia otwierając szeroko sz'czne niebieskie oczy. Od razu rzucił mu się w oczy ten kolczyk i Jack z trudem opanował odruch odrazy. Nie mógł pojąć, jak ładne dziewczęta mogą się tak oszpecać.

- Pan O'Brian? - upewniła się.

-Tak.

Uśmiechając się nerwowo, wręczyła mu pudełko zapakowane w biało-czerwony papier. Do przesyłki przy-mocowany był bukietek białych kwiatków.

- To dla pana. A właściwie nie dla pana, ale od pana dla kogoś innego.

- Ach, pani jest z Gift Hunter?

- Jasne - uśmiechnęła się, spłoszona, i podała mu długopis oraz jakiś dokument na sztywnej podkładce. - Zechce pan podpisać?

Odłożył paczkę na biurko Elizabeth, podpisał kwit i zwrócił go dziewczynie. Ta natomiast spojrzała raz jeszcze na pudełko, uśmiechnęła się i szybko wyszła z kancelarii.

Jack zaniósł przesyłkę do siebie.

Pięknie zapakowane body dla Natalie.

Całkiem możliwe, że rozpoczął się oto nowy rozdział w jego życiu.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

- Bardzo za tobą tęskniłam, nawet nie wiesz jak. -
Natalie pochyliła się ku niemu, tak że ich twarze prawie stykały się ze sobą.

Siedzieli przy małym stoliku w restauracji „Siren Song”, na najwyższym piętrze hotelu znajdującego się nieopodal plaży. Dziewczyna uwodziła go wyraźnie, była tak blisko niego, że kosmyki jej rudych włosów muskały jego czoło. Rodzaj spojrzenia, jakim przesuwiała po ustach Jacka, nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jej intencji.

- Też za mną tęskniłeś, Jack?

Nie mógł powiedzieć, że o niej zapomniał.

- Myślałem o tobie, Nat... - odparł prędko.

- Cały czas? - zamruczała słodko i nie miał już wątpliwości, że te obnażone ramiona, piersi opięte stanikiem dopasowanej sukni, nogi wysuwające się kusząco z długiego rozcięcia spódnicy, że całe to piękne ciało tej nocy może należeć do niego, o ile tylko zdecyduje się wykonać pierwszy ruch.

Do licha, pragnął tego, od początku to planował!

Pochyliła się jeszcze bardziej, a on zajrzał kątem oka w głęboko wycięty dekolt czerwonej sukni. Teraz, pomyślał. To będzie najlepszy moment.

Sięgnął po pudełko, leżące do tej pory na podłodze, i bez słowa wręczył upominek dziewczynie.

- Ach! - Rozpromieniła się i szybko odstawiła na bok wodę, wino i resztki posiłku, po czym umieściła paczuszkę na stole. Bukieciak wpięła sobie we włosy, rozewrała opakowanie, otworzyła pokrywkę.

Nagle wyraz jej twarzy zmienił się gwałtownie. Szeroki uśmiech oczekiwania na coś wspaniałego zmienił się w pełną rozczarowania konsternację.

Jack sięgnął do pudełka, by sprawdzić, co jest nie tak, i wyjął długą, czerwoną koszulę nocną. Zadrukowana była na przemian wielkimi białymi sercami i tegoż koloru domkami, z których kominów unosił się dym; żółte okna sugerowały, że w środku jest ciepło, jasno i przytulnie.

Gapił się na to, myśląc, że czegoś tak nieerotycznego jeszcze nigdy nie widział. Skąd, u diabła, się to tu wzięło? Miało być seksowne body!

Natalie tymczasem wrzuciła nocną koszulę do pudełka i podniosła się gwałtownie.

Co to, obrażona?

On też poderwał się na równe nogi i schwycił jej dłoń, która już sięgała po torebkę.

- Nat, ja...

Odtrąciła jego rękę, w jej oczach dostrzegł łzy.

- Tak się starałam, Jack! - wyszeptwała, lecz na tyle głośno, że wszyscy wokół zwrócili na nich uwagę. - Tak chciałam, żeby nam się ułożyło... Ale ty... Nie mogłeś powiedzieć wprost? - zapytała, bliska już płaczu. - Przecież coś takiego możesz dać swojej babci... A nie kobiecie, z którą zamierzałeś... kontynuować znajomość. Dobranoc!

Wybiegła z restauracji, przyciskając chusteczkę do nosa, a Jack usiadł z powrotem za stołem, na którym leżała poczciwa barchanowa koszula.

Gift Hunter. Te dwa słowa wypełniały w tej chwili jego umysł i sprawiały, że gotów był do rzeczy przerażających, krwawych, strasznych

Jack spojrzął na kartkę trzymaną w ręku, wszedł do bloku należącego do Cost Condominiums i załomotał w drzwi opatrzone numerem 321. Było już po dziesiątej wieczór, ale zupełnie o to nie dbał.

Sam nie wiedział, dlaczego jest taki wściekły. Pewnie dlatego, że panna Barclay już drugi raz wystawiła go do wiatru. Ale przecież jego praca polega na bronieniu ludzi, którzy popełniają pomyłki, więc może powinien być bardziej wyrozumiały.

Powtarzał sobie to przez całą drogę, ale jakoś nie przekonywał go ten argument. Myślał jedynie o tym, że dzisiejszy wieczór miał być wyjątkowy, a skończył się odejściem zaptakanej Natalie. Natalie, z którą wiązał takie nadzieje...

Przełożył duże białe pudełko do drugiej ręki i zapukał ponownie. Tym razem drzwi otworzyły się i stała w nich wysoka kobieta ubrana w szaropętlową jedwabną tunikę, pod którą sterczały zuchwale kształtne piersi.

Gniew Jacka momentalnie wyparował. Przyglądał się łukowatemu dekolтови, delikatnie zarysowanemu podbródkowi, podziwiał klasyczny prosty nos i - nie wiedział, co ma powiedzieć.

Tymczasem oczy ocienione długimi rzęsami wyraźnie domagały się wyjaśnień. Pora była w końcu nietypowa.

No tak, wyobrażał sobie pannę Barclay jako głupiotką blondynę uczesaną w kucyk i z nadmiarem makijażu na twarzy, podczas gdy jej szlachetną twarz okalała w rzeczywistości cudowna burza ciemnobrązowych włosów, opadających miękko na ramiona.

Nie, to pewnie siostra albo przyjaciółka właścicielki firmy.

Tak czy inaczej - pomyślał, próbując na powrót być zły i pełen pretensji - ktoś mieszkający pod tym adresem zrujnował mu dzisiejszy wieczór, a być może także i całą przyszłość.

- Chciałbym się widzieć z panną Barclay - rzucił ostrym tonem.

Kobieta stojąca w drzwiach otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, a gdy dostrzegła pudełko i zwisający zeń rąbek materiału, zdobyła się jedynie na krótkie:

- Och! - I zaraz potem: - Ach!

Rozpoznał głos. To była ona, panna Barclay we własnej osobie. A jednak wyobrażał ją sobie całkiem nietrafnie.

Ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę. Dziewczyna próbowała chyba się uśmiechnąć, lecz zamiast tego na jej twarzy pojawił się jedynie grymas mający, jak się domyślił Jack, wyrażać skruchę.

- Proszę, panie O'Brian. - Zrobiła mu przejście i zamknęła za nim drzwi. - To ja jestem Jade Barclay. Czy pańska matka nie otrzymała tej koszuli?

Wepchnął jej pudło w ramiona, starając się nie patrzeć

w te łagodne brązowe oczy i nie gapić na tunikę opinającą krągłości ciała Jade Barclay.

- Tak, panno Barclay, moja matka rzeczywiście jej nie otrzymała. Dostała ją za to moja narzeczona. Obraziła się, bo uznała, że skoro daje jej te barchanki zamiast jedwabnej

bielizny, to znaczy, że nie chcę jej... że nie chcę jej znać.

Jade otworzyła usta, bardziej ze zdziwienia niż żeby coś powiedzieć, a Jack mówił dalej, coraz ostrzejszym tonem:

- Domyślam się, że moja matka ogląda właśnie frywolne koronki i zastanawia się, co też mogło strzelić do głowy jej jedynemu synowi.

Właścicielka Gift Hunter pokręciła głową, przyciskając pudełko do siebie.

- Panie O'Brian, jest mi naprawdę strasznie przykro. Zabrzmiało to nawet szczerze, lecz on nie był w odpowiednim nastroju, aby to zauważyć.

- Mi też, panno Barclay. - Sięgnął do klamki. - Powiem tylko, że firma Gift Hunter będzie miała poważne kłopoty z oceną jakości usług. Życzę dobrej nocy - pożegnał się i wyszedł z jej mieszkania.

Jade postawiła pudełko na taboret i wyciągnęła czerwoną koszulę. I o to się na niego obraziła? Czy był ktoś na tym świecie, kto nie byłby zachwycony takim wzorkiem? Przecież te małe domki z rozświetlonymi oknami były takie urocze. A zestawione z serduszkami idealnie pasowały do Dnia Zakochanych.

Pewnie, że ten prezent był przeznaczony dla matki Jacka O'Briana, ale czemu jego dziewczyna nie doceniła; uroku tej staroświeckiej koszuli? Czy nie mogła obrócić tego w żart? Nie ma poczucia humoru czy co?

Cóż, to w końcu nie jej sprawa. Jej sprawą jest dostarczać właściwe upominki pod właściwy adres.

Usiadła na sofie i starała się zrekonstruować w myślach feralne popołudnie, kiedy przyjmowała zamówienia. Rezerwacja miejsc w restauracji dla jednej siostry, potwierdzone faksem zgłoszenie przyjazdu w czasie weekendu dla drugiej, body i koszula nocna zapakowane do pudełek przeznaczonych na osobistą garderobę. Owinęła to wszystko w czerwono-biały papier, przewiązała czerwonymi kokardami, udekorowała kwiatkami, przymocowała bileciki i adresy. Co mogło pójść nie tak?

Głupie pytanie. Przecież dostawą zajęła się Lindy.

Jade oparła się o poduszki i jęknęła. Wszystko to byłoby mniej smutne, gdyby nie fakt, że Jack O'Brian okazał się wspaniałym facetem; tak samo przystojnym, jak sobie wyobrażała. Może nie wszystko pojmował, lecz z pewnością był wspaniały.

- No cóż... - Lindy rozsiadła się na kanapie Jade.

- Nie jestem pewna, co dokładnie wczoraj zaszło. - Ze zdenerwowania zaczęła obgryzać paznokcie. - Wysłałam stąd i niosłam torbę do samochodu, kiedy wpadł na mnie ten dzieciak na deskorolce i wszystko mi się rozsypało. Nie, nie - uprzedziła pytanie, które już zamierzała zadać Jade. - Nic się nie rozwaliło, ale odpadły wszystkie karneciki.

- Odpadły wszystkie karneciki? - zapytała łagodnie Jade, choć prawdę mówiąc, chciało się jej wrzeszczeć.

- No, może tylko niektóre... Wiem, że to wygląda głupio, ale kiedy wypadła ta torba...

- Czemu mnie nie zawołałaś?
- Bo chciałaś, żebym zajęła się tym bez zwłoki.
- A skończyło się na tym, że wszystko poplątałaś.

Klient jest na mnie wściekły.

- Strasznie mi przykro - łza stoczyła się po policzku Lindy - ja już pewnie do niczego się nie nadaję.

Jade podniosła się i sięgnęła po płaszcz.

- W porządku, Lindy, nie płacz. Przynajmniej wiem, skąd ta pomyłka. Zapakujesz te apaszki, kiedy mnie nie będzie?

- Jasne - chlipnęła. - Chcesz, żebym odbierała telefony?

Jade zawahała się, lecz po chwili potaknęła. Dokładać dzieciakowi, który i tak wyglądał, jakby za chwilę miał popełnić samobójstwo, byłoby nie fair.

- Tak, Lindy. Zapisuj dokładnie wszystkie wiadomości i nie zapominaj o numerach telefonów.

- Naprawdę mi przykro...

- Wiem, nie martw się, jakoś to załatwię. Zawsze jednak, kiedy nie jesteś czegoś pewna, lepiej sprawdzić dwa razy niż ryzykować, że wszystko schrzanisz. - Jade nałożyła płaszcz z czerwonej wełny, sięgnęła po czarną torbę. - Jadłaś w szkole lunch? W zamrażarce mam burritos, które tak lubisz.

- Dzięki, nie jestem głodna. - Lindy zdejmowała już z półki pudełka i fatalaszki.

- Jak chcesz. Ja idę teraz do biura Jacka O'Briana. Nie wiem, ile mi to zajmie, ale po powrocie przejrzymy razem, co zrobiłaś, zgoda?

- Okay, Jade.

Spodziewała się, że w ogóle nie będzie chciał z nią rozmawiać. Gdy jednak sekretarka w kancelarii Jacka O'Briana zaanonsowała jej przybycie brzęczykiem, on sam po chwili otworzył drzwi gabinetu. Był w samej koszuli, lecz wyglądał równie fantastycznie, jak wczoraj.

- Proszę, panno Barclay - odezwał się uprzejmie, choć z rezerwą - proszę wejść.

Wkroczyła do zapelnionego książkami pokoju, umeblowanego sprzętami z mahoniowego drewna. Na podłodze leżał gruby dywan, naprzeciw okna stała wielka kanapa. Zatrzymała się na środku biura, odwróciła na pięcie i od razu przystąpiła do rzeczy.

- Firma Gift Hunter chciałyby naprawić szkody, które wyrządziła zeszłego wieczoru. Zwrócę wszystko, przepakuję, dostarczę pod właściwy adres, co tylko sobie pan życzy. Oczywiście wszystko to za darmo - przerwała, by zaczerpnąć tchu. - Mogę nawet zadzwonić do tej pani i powiedzieć jej, że to moja wina.

O'Brian okrążył biurko, gestem wskazał jej krzesło, usiadł sam.

- Dziękuję - odezwał się. - Kiedy wreszcie odebrała telefon, dopiero dziś rano, wytłumaczyłem jej, że wszystko to pani wina, więc tę sprawę mamy z głowy.

- Świetnie. Kiedy będzie pan mógł odebrać bieliznę od matki?

- Nie mogłem się z nią skontaktować. - Rozłożył ręce. - Ale co do Natalie, to sądzę, że jakaś szykowna biżuteria pomoże jej puścić całą rzecz w niepamięć. Może więc skorzystam z pierwszej części pani oferty.

Oczy Jade zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Jak to, chce pan jej kupić biżuterię, żeby wybaczyła panu pomyłkę zawinioną przeze mnie? - Wiedziała, że jako profesjonalistka nie powinna komentować decyzji klienta, ale cóż, stało się.

Z jego twarzy dało się wyczytać, że pomyślał to samo.

- Dopiero co wróciła z podróży służbowej - odezwał się, jakby próbując usprawiedliwić kapryśną narzeczoną.

- Pewnie jej poczucie humoru jest nieco nadwerężone.

- No tak, oczywiście - przytaknęła Jade i chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język. Co się z nią stało? Do tej pory w rozmowach z klientami ważyła każde słowo.

- Chciałbym, żeby kupiła pani dla niej bransoletkę w salonie Blumenthalów. Niech zapiszą na moje konto, powiadomię ich telefonicznie...

Nie dokończył, bo drzwi otworzyły się z impetem i do biura wpadła młoda kobieta w dzinsach i barwnej bawełnianej bluzie. Jack poderwał się na nogi, a osoba, która wtargnęła do kancelarii, chwyciła go w ramiona.

- Dziękuję ci, dziękuję, dziękuję! - wykrzykiwała.

Była tak szczęśliwa, że Jade od razu uznała, że to nie może być ta zawiedziona narzeczoną.

- Wspaniale, Di, ale o co...

- Nigdy, ale to nigdy nie byłam tak podekscytowana! To fantastyczne, dowiedzieć się, że ktoś uważa mnie za tak młodą i tak seksy, żeby przysłać mi takie koronkowe cudęńko. I wiesz ty co?

Masz ci los. Zatem czarna frywolna bielizna wylądowała u jednej z jego sióstr. Czyżby następne kłopoty?

- Tak? - Jack wyglądał na zakłopotanego.

- Posłałam chłopców wcześniej do łóżka i założyłam to, kiedy Todd wrócił do domu - zachichotała. - Mieliśmy najgorętszą noc od czasu, kiedy bliźniaki przyszyły na świat. Dziś rano musiałam go kopniakami wypędzać do pracy! Dziękuję ci, jeszcze raz dziękuję! Muszę lecieć. Chłopcy są na dworze z Elizabeth.

Uradowana siostra odwróciła się do drzwi i już miała wyjść, kiedy spostrzegła Jade.

- Oj, Jack - zasłoniła ręką usta - nie wiedziałam, że masz klientkę!

- To nie klientka - uspokoił ją. - To Jade Barclay z firmy Gift Hunter. A to, panno Barclay - Jack dokonał prezentacji - moja siostra, Diane Draper.

Jade wstała i wymieniła z Diane uścisk dłoni.

- Zatem ta bielizna to był pani pomysł? - Diane chwyciła Jade za ramiona.

- To się stało... powiedzmy, wspólnym wysiłkiem - odparła i ze zdziwieniem spostrzegła, że O'Brian uśmiechnął się do niej półgębkiem.

- Chodźmy, Di - Jack otoczył ramieniem siostrę - odprowadzę cię i powiem „cześć” moim siostrzeńcom.

Wrócił po pięciu minutach, przysunął fotel bliżej Jade i pokręcił głową, jakby wciąż nie mógł dojść do siebie po wizycie Diane.

- Odnieśliśmy więc - zaczął - dwudziestopięćoprocentowy sukces. Zamierzałem wysłać Diane i Todda na weekend poza miasto, bo coś mi się widzi, że ostatnio nie najlepiej się między nimi układa, okazało się jednak...

Tym razem przerwał mu dzwonek telefonu. Musiała

to być prywatna linia, bo sekretarka nie anonsowała wcześniej rozmówcy.

- Donna? Cześć, dziecinko! - Jade zrozumiała, że Jack wita się z drugą siostrą i ścierpła jej skóra. - Gdzie jesteś? W Seafoam Lodge?

Jade zakryła dłońmi oczy. Przecież na tę wycieczkę miała pojechać Diane!

- Cóż... świetnie - zamilkł na chwilę - cieszę się, że dobrze się bawisz - znów słuchał, co mówi siostra, a z jego twarzy wyczytać było można, że jest równocześnie zakłopotany i zaintrygowany. - Donna, jestem pewien, że właściciel galerii spadł ci jak z nieba, ale... Tak, wiem... Nie dziękuj, nie ma za co, baw się dobrze... Tylko wiesz, uważaj na siebie... Co? Tak, sam na to wpadłem... No, może nie do końca... Dobra, pa, zadzwoń, jak wrócisz.

Nieco oszołomiony odłożył w końcu słuchawkę.

- Pięćdziesiąt proces sukcesu. Tylko kto, do diabła, poszedł na kolację z Rossem Mitchellem?

Odpowiedź przyszła w ciągu dwóch sekund. Do gabinetu wtargnęła elegancka pani w średnim wieku, a obejmował ją jakiś przystojniak o dobre piętnaście, może dwadzieścia lat młodszy.

Kolacja, pomyślała Jade.

Randka, którą Jack zaaranżował dla siostry.

Spojrzała na niego. Podniósł się powoli z fotela i podrapał z zakłopotaniem po głowie.

- Mama? Ross?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Matka Jacka O'Briana z promiennym uśmiechem otworzyła ramiona i podeszła, by uściskać syna.

- Mamo, ja wcale nie... - usiłował wytłumaczyć nieporozumienie, lecz nie pozwoliła mu na to. Odstąpiła o krok i poklepała go pieszczotliwie po piersi.

- Kochanie - powiedziała - nie spodziewałam się po tobie takich twórczych działań.

Wyciągnęła dłoń w kierunku stojącego w pobliżu mężczyzny, który ujął ją i przysunął się bliżej swej partnerki.

- I co powiesz na to - spytała - że świetnie czuliśmy się w swoim towarzystwie? Ross pracuje także jako wolontariusz w portlandzkim Muzeum Sztuki. Wiedziałeś o tym?

- Ja... nie...

Machnęła ręką, zbywając nie dokończoną odpowiedź syna.

- Nieważne. Krótko mówiąc, kolacja była cudowna. Potem poszliśmy na dancing, słuchaliśmy reggae, a wreszcie Ross wynajął żaglówkę i mogliśmy podziwiać wschód słońca od strony morza - westchnęła niczym zakochane dziewczę i uwiesiła się na ramieniu Rossa. - Ech, nawet nie chce mi się myśleć o innych matkach,

które na walentynki dostały od swoich dzieci jakieś nocne koszule czy pluszowe bambosze.

Jade spojrzała na Jacka. Stał wyprostowany jak posąg i milczał.

Tymczasem jego matka spostrzegła Jade i podeszła do niej, by się przywitać. Z jej twarzy, oczu, całej postaci promieniowało jakieś wewnętrzne ciepło. Choć jej konkurent był od niej sporo młodszy, to wyglądał, jakby świetnie czuł się w takim towarzystwie.

- Zawsze wpadam do biura Jacka, żeby się czegoś dowiedzieć. Albo po prostu z najnowszymi plotkami. - Uśmiechnęła się czarująco. - I ciągle zapominam, że nie jestem tu najważniejsza. Przepraszam. Nazywam się Selina O'Brian. A to jest Ross Mitchell.

- Miło mi, jestem Jade Barclay. - Jade wstała i przywitała się z gośćmi. - Nie jestem klientką pani syna, pani O'Brian, prowadzę jedynie firmę robiącą zakupy na życzenie.

Selina uniosła brwi.

- Któż może zlecać komuś innemu takie urocze zajęcia?

- Na przykład ja, mam... - odezwał się wreszcie Jack.

Matka spojrzała na syna, zaraz jednak zwróciła się do dziewczyny.

- Doprawdy? Skoro więc ma pani takie wspaniałe pomysły, to może uda się pani znaleźć temu biedakowi jakąś kobietę, która wniosłaby odrobinę romantyzmu w jego ponure życie? Byłoby to możliwe?

- Mamo, poznałaś przecież Natalie - Jack uprzedził odpowiedź Jade.

Selina prychnęła tylko pogardliwie, co zupełnie nie licowało z jej eleganckim wyglądem. Jade od razu się w niej zakochała.

- Natalie da ci jedynie seks, mój kochany. Ja mam na myśli prawdziwy romans.

Jack przeciągnął z zakłopotaniem dłonią po twarzy, a Ross zaczął kontemplować lampę nad biurkiem swego przyjaciela.

- A niech mi pani powie, co pani robi w walentynki?

- Selina zwróciła się ponownie do Jade.

- Cóż... Jak zwykle. Pracuję. Przygotowywałam się do tego święta przez ostatnie dwa tygodnie.

- Och, czy wy, młodzi, nie myślicie o niczym innym oprócz pracy? - Selina westchnęła zrezygnowana. Potem przeprosiła obecnych i wyszła do toalety, mówiąc, że musi się odświeżyć.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Jack naskoczył na Rossa.

- Miałeś zabrać na kolację moją siostrę!

Ten wzruszył tylko ramionami, jakby nie on był odpowiedzialny za ten nieoczekiwany rozwój wydarzeń.

- Powiedziałeś, że zrobisz rezerwację na moje nazwisko u Brightonów i że mam tam czekać. A że pojawiła się twoja matka zamiast siostry, to już nie moja wina. Jeśli chcesz odgrywać Kupidyna, uważaj bardziej, w kogo wymierzasz strzały.

Jack z niedowierzaniem patrzył na wyraźnie zadowoloną twarz przyjaciela.

- Ross, na Boga, przecież ona jest...

- Jest najbardziej czarującą kobietą, jaką spotkałem.

Wyluzuj się, facet. Wiesz przecież, że nie karbuję sobie na nodze od łóżka „zaliczonych” kobiet. Inaczej nie umiałbyś mnie z Diane.

- Z Donna.

- Wszystko jedno. Pomyliłeś się, ale ręka opatrności musiała czuwać, bo od lat nie bawiłem się tak świetnie. Selina również nie narzeka.

- Ona niedługo skończy pięćdziesiąt siedem lat.

- A ja czterdzieści jeden, i co? - Ross nadal się uśmiechał. - To bez znaczenia, stary. Ona ma duszę dziewiętnastolatki, ja zaś zawsze byłem nad wiek opiekuńczy. Rozchmurz się. Lubimy się nawzajem i to jest najważniejsze. Nachrzaniłeś trochę, ale wyszło jak trzeba.

Po chwili wróciła Selina i oboje zakochani pożegnali się, zdradzając na odchodne, że planują właśnie zwariowany wypad na narty do Mount Hood.

Jack opadł bezwładnie na fotel. Z jego miny można było wyczytać, że godzi się powoli z tym, co się wydarzyło. Jade wciąż siedziała naprzeciw niego, starając się ze wszystkich sił nie okazywać zadowolenia. To prawda, myślała, Gift Hunter popełniło błąd, a właściwie cztery błędy naraz. Jeszcze większym zawodowym błędem byłoby jednak teraz oznajmić klientowi, że dzięki całemu temu zamieszaniu wszyscy są bardziej zadowoleni, niż gdyby otrzymali właściwe, wybrane przez niego upominki.

- Ma pani już siedemdziesiąt pięć procent sukcesu
- odezwał się ponuro.

- Martwię się o te pozostałe dwadzieścia pięć.

- Doprawdy?

- Oczywiście. - Podniosła się i chwyciła torebkę.

Spojrzenie tego mężczyzny sprawiało, że ciarki przechodziły jej po grzbiecie, wołała więc oddalić się od niego i nie patrzeć mu prosto w oczy. Stała przy oknie, zdobyła się na odwagę i powiedziała:

- Kobiecie bez poczucia humoru nie należy nigdy dawać barchanowej koszuli. Zresztą dla pańskiej matki, jak widać, również by się nie nadawała. Jak więc robimy? Czy dla Natalie mam kupić złoto? A może diamenty? Coś w kształcie serduszka?

Podniósł się, zastanawiając się przez chwilę nad odpowiedzią. Myślała, że dostanie jej się za wygłoszony przed chwilą osobisty komentarz, on jednak zapytał tylko:

- A co pani chciałaby dostać?
- Barchanową koszulę nocną - uśmiechnęła się leciutko. - A poważnie...

Nie dokończyła, bo drzwi do biura znów otworzyły się z trzaskiem. Tym razem do środka wpadła dwójka rozczochranych dzieciaków, dziewczynka i chłopiec. Ubrane w niebieskie blezery, zapewne szkolne mundurki, trzymały pod pachą książki.

Na widok Jade zatrzymały się jak wryte.

- Cześć - powiedziała dziewczynka. Miała jasne oczy i rumianą niczym jabłko cerę.

Chłopiec, wyższy, lecz uderzająco podobny do siostry, po prostu stał i przyglądał się Jade bez słowa. Jack zrobił krok do przodu.

- Panno Barclay - odezwał się - chciałbym, żeby pani poznała moje dzieci. To Andy, a to Ashley.

Jade dotknęła końcem palca policzków dzieci. Były wprost prześliczne, ich oczy błyszcząły inteligencją i uf-

nością. Znać było, że otaczane są miłością i rozpieszczane.

- Panna Barclay będzie robić zakupy dla Natalie - wyjaśnił Jack.

- To pani też ją zna? - zainteresował się Andy.

- Nie - sprostował ojciec - panna Barclay prowadzi taką firmę, która kupuje różne rzeczy dla osób, które nie mają czasu zrobić tego osobiście.

- O rany! - oczy Ashley zrobiły się wielkie jak spodki. - Kupowanie prezentów to pani praca?

- Prezentów nie dla siebie, niestety. - Jade roześmiała się i zwróciła ponownie do ojca dziewczynki: - Czy w sklepie będą wiedzieli, w jakim przedziale ma być cena?

- Cena? To nie ma znaczenia. Natalie była strasznie wścicka.

- Rozumiem. Będę informować pana o wszystkim, panie O'Brian - powiedziała, po czym pożegnała się i wyszła.

Jack patrzył na nią przez chwilę z zainteresowaniem, a kiedy zamknęła drzwi, wskazał na długi stół, przy którym dzieci często odrabiały lekcje, czekając aż on skończy pracę, i powiedział:

- Siadajcie, bo potrwa jeszcze z półtorej godziny, zanim dostaniecie coś do jedzenia. Mam robotę, więc nie marudźcie.

Andy usłuchał polecenia, natomiast Ashley poszła za ojcem do jego biurka i wgramoliła się tacie na kolana.

- Nie wiedziałam, że można płacić za robienie zakupów.

- Zabawne, no nie? - Powstrzymał się przed sięgnięciem po sprawozdanie, nad którym pracował. Miał wrażenie, że Ashley coś ważnego chodzi po głowie.

- Jane jest śliczna.

- Jade. Ona ma na imię Jade - poprawił.

- Zabawne imię.

- Właściwie to tak nazywa się śliczny zielony kamień.

Jade znaczy „nefryt”, wiesz o tym?

- Skąta?

- Nie, kamień, taki jak u jubilera.

- Ach, rozumiem. - Ashley przytknęła małą rączkę do policzka. - I ona dotyka mnie zupełnie jak mama.

- Naprawdę? - Domyślał się, do czego to zmierza, postanowił więc od razu rozwiać wszelkie nadzieje. Trudno, czasami trzeba być twardym wobec własnych pociech. - Nie sądzę, żeby miała dzieci, poza tym pewnie już nigdy się z nią nie spotkam.

Ugryzł delikatnie małą w ucho, wyszczerzył zęby i zaczął udawać wycie wilka. Ashley zaśmiała się wesoło, lecz nie dała się wywieść w pole.

- Potem się pobawimy. Dlaczego nie chcesz się już z nią zobaczyć?

Jack westchnął i wyjaśnił cierpliwie, że Jade kupiła nie to, co zamawiał, i pomieszała zamówienia.

- Ale mnie i Andy'emu zawsze dajesz jakieś dodatkowe szanse.

- Jej też dałem. Poszła właśnie po nowe zakupy, żeby naprawić swoją pomyłkę. Mimo to nie zamierzam się z nią spotykać, chyba że znów coś poknoci i będę musiał na nią nawrzeszczyć.

- Fakt, w tym jesteś dobry - odezwał się Andy ze swojego kąta.

Ojciec rzucił mu groźne spojrzenie, po czym roześmiał się niby beztrąsko i postawił córkę na nogi.

- No, dzieciaki, jeszcze sobie pogadamy. Teraz naprawdę muszę trochę popracować, bo inaczej nie zdążymy nic zjeść przed moim spotkaniem z Natalie.

Ashley, patrząc prosto w oczy ojca, zaproponowała coś zgoła innego.

- Mógłbyś odwalić szybko całą robotę, potem zabrać nas na kolację, a o Natalie zapomnieć.

- Lubię Natalie - zaproponował.

Dziewczynka przyjrzała mu się uważnym dorosłym wzrokiem, który zawsze przyprawiał go o dreszcz.

- Nie ma sprawy - powiedziała w końcu i poszła do swojego stołu, a on pogratulował sobie, że po raz kolejny załagodził sprawę.

Była to jednak radość przedwczesna.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Natalie wyczuła paczuszkę z upominkiem, schowaną w kieszeni na piersi Jacka, kiedy wsiedli do windy mającej ich zawieść do „Siren Song”.

Przytuliła się do niego łaskawie. Jej przystońnięte półprzymkniętymi powiekami oczy wyrażały skruczę z powodu wczorajszego gniewu. Gładząc kłapy jego marynarki, namacała kwadratowe pudełeczko i uśmiechnęła się ze zrozumieniem:

- Co to jest?

- Deser.

- Na deser planowałam co innego. - Zajrzała Jackowi zalotnie w oczy, a później przez całą kolację posyłała mu omdlewające spojrzenia i czule głaskała końcami wymanikiurowanych paluszków jego dłoń.

Kiedy kelner uprzątnął ze stołu, upomniała się o swój odkryty wcześniej „deser”. Jackowi przemknęło przez głowę, że dziewczyna bardziej interesuje się prezentem niż owym obiecany „deserem”, który sama jakoby zaplanowała. Postanowił jednak przestać się czepiać i poczekać spokojnie na rozwój wypadków.

Uśmiechnął się do niej słodko i wręczył jej pudełeczko.

Jade dostarczyła je do biura z następującą adnotacją:

„Oto bransoletka, którą powinien pan wręczyć na przeprosiny swej ukochanej - dwadzieścia lat później. Powodzenia. Gift Hunter". Zostawił tę nieco niejasną notatkę na biurku, pudełko schował do kieszeni i zabrał rozbrykane dzieci na pizzę. Teraz, prawie tak samo niecierpliwie, jak Natalie, oczekiwał widoku tego, co kryło się pod ozdobnym wieczkiem.

Natalie rozwiązała złotą wstążeczkę, zdjęła pokrywkę i wpatrywała się w zawartość paczuszki. Wpatrywała się podejrzanie długo i oczami wielkimi jak spodki.

Jack uśmiechnął się zadowolony. Był gotów na pochwały, pocałunki, a nawet na „deser", który proponowała w windzie.

Tymczasem zamiast pochwał otrzymał cios - pudełeczko niczym pocisk ugodziło go prosto w nos, spadło na stół, a Natalie zerwała się od stołu z policzkami poczerwieniałymi ze złości.

- Wpierw traktujesz mnie jak starą babę, która śpi w barchanowych koszulach, a teraz ta dziecięca bransoletka za dwa dolary ma mnie udobruchać? Co to wszystko ma znaczyć? Mam tego dosyć! Powiedz po prostu, że mnie nie chcesz, albo znajdź sobie taką, której spodobają się twoje figle. Mnie one nie pasują. Nie chcę cię więcej widzieć, Jack!

Wrzuciła prezent do kieliszka z winem i tak jak wczoraj wybiegła z płaczem z sali.

Jack wyłowił to coś z czerwonego burgunda i przyjrzał się dokładnie. Tak, to rzeczywiście była baransoletka, tyle że bynajmniej nie ze złota i bez żadnych diamentów. Ot, zwykły, pomalowany metal z jakimiś świecidełkami.

Przypadek? Żart? Upór? Czy kompletne wariactwo? Jechał do Jade tak samo wściekły, jak Natalie wychodząca z restauracji. Nim zdążyła otworzyć, prawie wyrwał drzwi jej mieszkania z zawiasów.

I tym razem ubrana była w ten strój, co wczoraj, tym razem jednak przygotował się na to i nie dał zbić z tropu.

- Mam tylko jedno do powiedzenia. - Spojrzał dziewczynie prosto w oczy, a ona cofnęła się przed wzburzonym intruzem. - Już nigdy nie zrobi pani zakupów ani dla mnie, ani dla mojej rodziny, ani dla nikogo w tym kraju i na całym świecie. Upprzedzę każdego, kogo zdołam.

Jade, która zdążyła już wycofać się na środek pokoju przed postępującym za nią mężczyzną, zebrała siły i powiedziała:

- Jeśli ta bransoletka nie podoba się tej pani, to musi pan uświadomić sobie jedno: to z nią, a nie z moją firmą jest coś nie w porządku.

- Tak? - Jack wyciągnął w kierunku Jade palec wskazujący, na którym dyndała taniuchna dziecięca bransoletka. - Powiedziałem, żeby wybrała pani coś wedle własnego uznania. Wspominała pani o czymś ze złota i z diamentami. A co to jest?

Jade spojrzała ze zdumieniem na tę „bizuterię”.

- Nie - wzięła głęboki oddech - to niemożliwe... niewiarygodne! Osobiście wybrałam wspaniałą bransoletę, stałam tuż obok, kiedy pan Blumenthal ją pakował, i sama doręczyłam upominek Elizabeth!

- Być może. Ale jak pani wyjaśni to, że moja narzeczona dostała odpustowy gadżet, a nie cenny klejnot?

Zmarnowała mi pani kolejny wieczór, panno Barclay.
I nie tylko wieczór...

Jade była jednocześnie przerażona i zakłopotana.

- Naprawdę nie mam pojęcia, co się stało. Rozmawiał pan z Elizabeth? Może ona wyja...

- Elizabeth pracuje ze mną, odkąd rozpocząłem praktykę osiem lat temu. Jest uczciwa, lojalna i ufam jej jak własnej matce.

- Nie mówię, że ukradła. Ale może mogłaby wyja...
Jack chwycił gwałtownie Jade za rękę i zadął do góry jej rękaw. Zaraz jednak zrobiło mu się głupio - na nadgarstku nie było żadnej bransolety. Zamierzał sprawdzić jeszcze drugą rękę, lecz Jade wcześniej kopnęła go w goleni.

Wycofał się, przeklinając w duchu.

- Myśli pan, że to ja ukradłam? - Teraz Jade ogarnęła wściekłość. - Jak pan śmie! Wywiązałam się ze swego zadania! Jestem uczciwa! Mam na to dowody! Może pan przeszukać moje mieszkanie, jeśli pan mi nie wierzy, ale niech pan nie waży się mnie dotykać!

- Zostawię to policji.

- Świetnie. - Podeszła do wciąż otwartych drzwi.

Jack odwrócił się i dojrzał stojące na korytarzu kobietę i nastolatkę, obie w pizamach i narzuconych na nie szlafrokach. Zobaczył ufarbowane na niebiesko włosy i rozpoznał w dziewczynie posłańca, który był u niego w biurze poprzedniego dnia.

- A jadąc na posterunek policji - dodała Jade złośliwie - niech się pan gdzieś zatrzyma i każe przebadać sobie głowę. Każdy facet, który wierzy, że można kupić

przebaczenie ukochanej, cierpi na ostre rozmiękczenie mózgu. Pan też.

Nie liczyła się już ze słowami. Co jej zależało? I tak to już koniec, niezależnie od tego, czy zrozumie, że nie-słusznie ją oskarża, czy nie. Jak zrozumie - będzie mu głupio i nie pokaże się więcej; a jak nie - to czort z nim.

- Posłuchaj, Gift Hunter - wymierzył w nią palec - dość mam już tego gadania. Nieźle narozrobiłaś na mój rachunek. Kompletnie sfuszerowałaś, co ci zleciłem, i jak dotąd naprawiłaś jedynie siedemdziesiąt pięć procent strat. Te brakujące dwadzieścia pięć przekracza twoje możliwości. Nie stać cię na porządne prowadzenie tej zakichanej firmy, ktoś musi to ci wreszcie powiedzieć.

- Chce pan zobaczyć, na co mnie stać, panie O'Brian? W porządku! - Nie zastanawiając się zbyt długo nad tym, co robi, złapała go za krawat i pociągnęła ku sobie. W końcu widzi go ostatni raz, więc raz kozie śmierć!

Jack z zaskoczeniem wpadł w jej ramiona. Poczut przy sobie miękkie piersi. Mógł się opierać, ale sytuacja była zbyt kusząca. Pochylił głowę, żeby zorientować się, jakie są jej prawdziwe zamiary, a wtedy panna Jade Barclay zarzuciła mu ramiona na szyję i... pocałowała go! Najpierw jakby gniewnie, ze złością, potem coraz delikatniej, coraz namiętniej i coraz czulej...

Oddał pocałunek, nie zastanawiając się, co robi. Otoczył jej szczupłą talię, przyciągnął bliżej do siebie. Potem zaś uniósł Jade z podłogi. Westchnęła, lecz nie stawiała oporu. Wciąż całowała go tak, że z każdą sekundą zapominał coraz bardziej, po co tu przyszedł i gdzie się znajduje.

Wreszcie puściła go i odsunęła się o krok, najwyraźniej tak samo jak on zdziwiona tym, co się stało.

- Niech to będzie dla pana lekcja...

- Niewątpliwie, była to lekcja...

Był oszołomiony. Nie wiedział, co więcej ma powiedzieć, ukłonił się więc grzecznie kobietom stojącym w korytarzu i wyszedł. Jeszcze teraz mógł to zrobić, sekundę później - już nie.

Dojeżdżał już prawie pod dom, kiedy gwałtownie nacisnął pedał hamulca i zatrzymał swoje audi w miejscu. Na szczęście ulica była pusta. Odtworzył w pamięci wszystkie wydarzenia dzisiejszego popołudnia i naraz fakty zaczęły układać się w logiczną całość.

Po pierwsze: prezent dla Natalie leżał na biurku, kiedy wrócił z rozmowy z młodszym wspólnikiem. Nie było go jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. Pudełeczko i kokarda były tak doskonałe, że nie chciał ryzykować, że zepsuje cały efekt, i nie zajrzał do środka, by sprawdzić zawartość.

Po drugie: Andy i Ashley byli pod jego nieobecność w kancelarii sami.

Po trzecie: Ashley zainteresowała się bardzo Jade, a on tłumaczył jej, że więcej się z tą panią nie spotka, chyba że ta znów coś poknoci, a wtedy on na nią nakrzyczy. Andy bąknął nawet złośliwie, że akurat w tym ojciec jest dobry.

I wreszcie po czwarte: ozdoby, które widział na bransoletce. Przyglądał się im z bliska i choć od razu sobie tego nie uświadomił, to teraz wiedział już, że były to Disnejowskie postacie indiańskiej księżniczki Pocahon-

tas, kapitana Johna Smitha, szopa oraz kolibra. Asley uwielbiała tę baśń, na urodziny została zasypiana gadzetami związanymi z tą opowieścią.

Wszystko nagle nabrało przerażającego sensu.

Wrzucił bieg i czym prędzej pojechał do domu.

Służąca powitała go grzecznym uśmiechem i odebrała od niego kurtkę.

- Dzieci poszły do łóżka godzinę temu, ale jeszcze nie śpią. Pewnie nie mogą się doczekać pańskiej relacji na temat wieczoru.

- A pani pewnie wie wszystko na ten temat. - Przyjrzał się jej podejrzliwie.

- Na jaki temat? Wie pan, że nigdy nie wypytuję dzieciaków, tak jest bezpieczniej.

Oczywiście, że niczego nie wiedziała. Ashley i Andy nie potrzebowali pomocy w realizacji swoich szalonych planów.

Wszedł na górę. Sypialnie dzieci były puste, ale to żadne zaskoczenie: zawsze czekały na relacje z przyjęć u niego w pokoju.

I rzeczywiście - znalazł je we własnej sypialni. Siedzieli po turecku na łóżku i grały w zwariowane ósemki. Na widok ojca odwróciły się, radośnie uśmiechnęły. Ktoś nie mający wcześniejszych tego typu doświadczeń mógłby dać się zwieść tym niewinnym buźkom. Ale nie Jack.

Usiadł na fotelu, wyprostowane nogi oparł o brzeg łóżka.

- Które z was podmieniło bransoletkę dla Natalie? - Uznał, że taka bezpośrednia konfrontacja najszybciej przyniesie spodziewane rezultaty.

Przestały się uśmiechać, spojrzali po sobie, potem na ojca.

- Ja - przyznał się Andy, rzucając karty.

- Ale zamienił ją na moją bransoletkę - wtrąciła Ashley w obronie brata.

Jedyną pocięchą w tym wszystkim było to, że jego dzieci z zasady były prawdomówne. Płatały sobie nawzajem różne figle, ale jak przyszło co do czego, to jedno drugiego nie zostawiało na lodzie.

Pokręcił głową. Na przegubie córeczki, dojrzał bransoletkę wartą kilka tysięcy dolarów. Wysadzana była diamentami, każdy w oprawie z czternastokaratowego złota.

- Dlaczego to zrobiliście? - spytał Jack.

- Bo nie lubimy Natalie. - Andy spojrzał ojc

w oczy.

- Ale to nie wy byliście z nią umówieni.

- Ty też jej nie lubisz - rzucił chłopak zuchwale, lecz kiedy tylko dostrzegł uniesione do góry brwi ojca, zajął się pracowitym układaniem kart w pudełku.

- O ile pamiętam, mówiłem wam coś całkiem innego.

- Tak, ale naprawdę to wcale jej nie lubisz. - Ashley wyprostowała się i usiadła tuż przy nogach ojca.

- Czemu tak mówisz? - zapytał Jack, czując, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- Bo nigdy nie przyprowadziłeś jej do domu. - Andy odłożył pudełko z kartami i usadowił się po drugiej stronie ojcowskich nóg. - Wychodziliśmy parę razy wspólnie, ale ona nigdy nie przyszła do nas. Chyba jej na tym nie zależało. Wiesz przecież, tato, że ona nigdy nie będzie taka jak mama, tylko nie chcesz się przyznać.

- A poza tym powiedziałaś - przypomniała mu córka - że już nigdy nie spotkasz się z Jade. Chyba że znów narozrabia. Pomyśleliśmy, że byłaby z niej miła mamusia, więc chcieliśmy, żebyś znów się z nią spotkał.

Zawsze zdumiewało go to, co tym maluchom chodzi po głowach, lecz tym razem naprawdę mu dokuczyły; rozumiał, że czasami wiedzą o nim więcej niż on sam o sobie.

Zdjął nogi z łóżka i uważnie przyjrzał się dzieciom.

- Cóż, świetnie to obmyśliście, ale nie wiem, czy Jade to doceni.

- Co masz na myśli? - zaniepokoił się Andy. Jack wskazał na bransoletę na ręce córki.

- Wystąpiłem ją, żeby kupiła to dla Natalie. Natalie otworzyła puzderko i znalazła tam bransoletkę dla małej dziewczynki, ja zaś pomyślałem, zresztą zgodnie z waszym planem, że Jade znów coś pokręciła. Nie przyszło wam do głowy, że ta wysadzana diamentami biżuteria kosztuje mnóstwo pieniędzy i że jeśli jej nie ma, to znaczy, że ktoś ją buchnął, zamieniając na tę z Pocahontas? Pudełka dotykała jedynie Jade, więc to ona była pierwszą podejrzaną.

Ashley zakryła dłonią usta, Andy spytał zaś zboliałym głosem:

- I naprawdę pomyślałaś, że to Jade ją ukradła?

- Tak - przyznał, aczkolwiek głównie dla efektu, bo przecież w gruncie rzeczy ani przez moment w to nie wierzył.

Chciał po prostu dotknąć Jade i dlatego złapał ją za nadgarstek.

Ona zaś zemściła się, atakując jego goleń. I usta.

- Wezwałem nawet policję.

Ashley zaczęła płakać, Andy poderwał się na równe nogi.

- No i co teraz zrobimy? - Jack zwrócił się do dzieciaków.

- Musisz jej powiedzieć, że jest ci bardzo przykro!

- Za co? Przecież ja nic nie zrobiłem.

- No tak... - Ashley spuściła nieco z tonu. - W takim razie musisz jej powiedzieć, że nam jest bardzo przykro.

- Już lepiej - powiedział Jack surowo. - To wy musicie ją przeprosić, zgoda?

- Płakała? - spytał szeptem Andy.

- Była przygnębiona - odparł Jack. W rzeczywistości Jade była raczej wściekła. I to chyba bardziej wściekła niż on, w efekcie czego straciła głowę i go pocałowała. Wciąż nie do końca rozumiał, dlaczego tak się stało, lecz musiał przyznać, że nie żałuje swej wizyty w domu Jade i coraz mniej mu żal utraconej szansy na namiętą noc w objęciach Natalie. No, ale musiał przecież wyrzucić na dzieciach odpowiednie wrażenie.

Andy podał ojcu słuchawkę bezprzewodowego telefonu.

- Możemy do niej zadzwonić teraz?

Jack spojrzął na budzik. Była prawie jedenasta trzydzieści, ale kiedy od niej wychodził, Jade była tak wściekła, że pewnie jeszcze nie zasnęła.

- Myślę, że w tak poważnej sprawie trzeba przeprosić poszkodowaną osobę osobiście. Możemy jednak zadzwonić i umówić się na jutro rano.

Jack wybrał numer, dzieci przysiadły na krawędzi łóżka.

- Halo? - odezwała się po chwili Jade zmęczonym i zniecierpliwionym głosem.

- Panno Barclay, mówi Jack O'Brian...

- Znalazł pan? - przerwała mu w pół zdania.

-Tak.

- Uff... Bogu dzięki!

- Moje dzieci chciałyby z panią rozmawiać - powiedział i wręczył słuchawkę synowi.

Andy wyrecytował pośpieszne przeprosiny i dodał:

- Chcielibyśmy spotkać się z panią jutro rano i przeprosić osobiście. - Przez chwilę słuchał odpowiedzi Jade, potem zwrócił się do ojca: - Pani chce wiedzieć, o której musimy być w szkole.

- Powiedz, że mogę was przywieźć na ósmą, o ile to nie jest dla niej za wcześnie.

Andy przekazał wiadomość i znów spojrzął na ojca.

- Pani się pyta, czy odpowiada nam targ spożywczy przy promenadzie, bo musi od rana robić zakupy. - Jack skinął głową. - Tata mówi, że tak będzie dobrze.

- Jade? - Ashley wyrwała bratu słuchawkę. - Tu Ashley, ta mała dziewczynka, siostra Andy'ego... Mnie też jest strasznie przykro. Bo my nie lubimy Natalie, tylko ciebie. Oboje uważamy, że ty...

Jack domyślił się, co mała zamierza powiedzieć, i spojrzął na nią surowo.

- Ashley! Starczy tego. Powiedz pani, że porozmawiamy jutro.

Dziewczynka spłoszyła się, lecz zastosowała do polecenia.

- Tata mówi, że mam się wyłączyć. Zobaczymy się rano. Cześć.

Odłożyła słuchawkę, po czym wgramoliła się ojcu na kolana i kazała mu nadstawić rękę. Bransoletka ześlizgnęła się z jej nadgarstka na szeroką dłoń Jacka.

- Ona jest naprawdę na nas wściekła...

- A widzisz. Co mówiła?

- Niewiele - odparła Ashley. - Nie odzywała się zbyt dużo, zupełnie jak ty, kiedy jesteś zbyt wściekły, żeby krzyczeć.

- No cóż, jestem pewien, że kiedy wszystko jej wytłumaczycie, zrozumie was.

Zamierzał jeszcze uświadomić dzieciom, jakie dodatkowe szkody mogło przynieść ich nieodpowiedzialne zachowanie, lecz postanowił dać spokój. I tak mocno przeżyły to wszystko.

A swoją drogą ta dwójka poprzez swoją „przestępczą” działalność osiągnęła całkiem zadowalające rezultaty.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jade nie było w umówionym miejscu. Jackowi przyszło do głowy, że postanowiła wziąć rewanż za wczorajszego wieczór i po prostu nie przyszła. Dziwne, nie znał jej wcale, ale z jakiegoś powodu myślał, że takie zachowanie jest do niej niepodobne.

I miał rację.

- Tam jest! - krzyknął naraz Andy, który wypatrzył w oddali odzianą w czerwień, wysoką, szczupłą postać. Dziewczyna stała przed witryną sklepu ze zwierzętami. O tej porze wszystko było jeszcze pozamykane, choć ludzie, którzy zaplanowali sobie poranne zakupy, włoczyli się już tam i z powrotem po szerokiej promenadzie.

Dzieci puściły się biegiem w kierunku Jade, Jack szedł powoli. Chciał im dać trochę czasu na przeprosiny, a jej wolną rękę, by mogła je zbesztać.

Nie wyglądało jednak na to, by miała zamiar to zrobić. Nachyliła się ku dzieciakom, słuchała cierpliwie ich jednoczesnej paplaniny, a potem przytuliła je do siebie. Kiedy zwróciła ich uwagę na witrynę sklepu i pokazała coś za szybą, już uśmiechały się szeroko, jakby powód tego spotkania stał się nagle czymś mało istotnym.

Jack zbliżył się do nich i zrozumiał przyczynę zainteresowania: parka szarych perskich kociąt. Nieco spła-

szczone pyszczki, czerwone noski, jasnozielone oczy. Futerka miały ten sam odcień, co szata noszona przez Jade wieczorami. Serce zaczęło mu walić szybciej, kiedy sobie to uświadomił.

Ashley złapała ojca za rękę i pociągnęła w stronę witryny.

- Jade kupuje te kociaki dla swojej klientki!

- Tak, dla jakiejś starszej pani - dodał Andy, przyciskając dłonie do szkła. - Ona jest zupełnie sama, mieszka w małym domku, a jej córka chce, żeby miała towarzystwo.

- Ja też bym chciała, żeby ktoś zadbał o nasze towarzystwo - westchnęła Ashley.

Jack poklepał córkę po ramieniu.

- Pomyśl tylko, jak te zwierzaki uszczęśliwią tę starszą panią.

Odwrócił się do Jade i spostrzegł, że ta przypatruje mu się uważnie. Trudno było coś wywnioskować na temat jej nastroju, póki nie napotkał jej wzroku. Był chłodny, patrzyła na niego z wyrzutem. Wiedział, że nie upiecie mu się jak dzieciom i że jemu Jade nie wybaczy tak łatwo.

- Może wstąpimy na croissanta i cappuccino? - zaproponował.

- Jeżeli ta oferta obejmuje również filiżankę dużej czarnej, to zgoda - odparła z dystansem niczym Królowa Śniegu.

Jack gestem pokazał kierunek, Jade chwyciła oboje dzieci za ręce i ruszyli. Ashley obejrzała się przez ramię na ojca i posłała mu znaczący uśmiech. Bez trudu od-

czytał zawarte w nim przesłanie: Jade trzymała dziewczynkę za rękę tak samo, jak mama.

I zupełnie jak mama poświęcała całą swą uwagę dzieciom. Przez całą następną godzinę zwierzały się jej ze swoich najskrytszych marzeń.

- Chciałbym odkryć nowe cywilizacje - perorował Andy z ustami umazanymi płynną czekoladą. - Chcę pojechać wszędzie, gdzie się da, wszystko zobaczyć... - Przerwał, gdyż Jade pochyliła się nad stołem i otarła mu usta serwetką. - Dzięki - powiedział, uśmiechając się do niej promiennie.

Jack skrzywił się, widząc tę scenę. Gdyby to on tak postąpił, syn zapewne poczułby się oburzony i zakłopotany.

- Ja też chciałabym podróżować. - Jade podzieliła się resztką croissanta z Ashley. - Ale nie jestem pewna, czy pozostały jeszcze jakieś cywilizacje do odkrycia.

- Na pewno są w kosmosie! - Andy wykrzyknął z przekonaniem. - Będę miał własny statek i załogę.

Ashley położyła rączkę na dłoni Jade i zmusiła dziewczynę by spojrzała w jej kierunku.

- A ja chcę zostać baleriną!

- Cudownie. Lubisz tańczyć?

- Nie wiem - uczciwie przyznała Ashley - ale podobają mi się baletki i te białe sukienki.

- To może być dobry powód - Jade roześmiała się.

- Sama chodziłam na lekcje baletu.

- Naprawdę? - Ashley spojrzała na nią z podziwem.

- Taak, przez kilka lat. Potem zaczęłam pracować w szkole i już na nic nie było czasu.

Spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się przepraszająco do dzieci.

- A jeśli chodzi o brak czasu, to muszę już pędzić.

- Wskazała promenadę, gdzie właśnie otwierano sklepy i ustawiano przed nimi dekoracje, - Dziękuję wam za te przeprosiny. Wiem, że chcieliście jak najlepiej. - Uśmiechnęła się też do Jacka, ale z nieco mniejszym entuzjazmem. - Dzięki za śniadanie.

Już miała wstawać, kiedy Jack położył dłoń na jej opartej o blat dłoni. Ten gest powstrzymał ją skutecznie.

- Andy - zwrócił się do syna - mógłbyś wziąć Ashley i przez parę minut pooglądać ten sklep ze zwierzętami? Chciałbym porozmawiać chwilę z Jade.

Andy wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

- Jasne, tato! Gadajcie, ile zechcecie. I tak nie chciało mi się iść dzisiaj do szkoły.

- No, no... Pogadamy tylko chwilę. Stójcie przed witryną, żebym miał was na oku.

- Okay! - odskrzyknęły dzieci i wybiegły na zewnątrz, a Jack odwrócił się ku Jade.

- Przykro mi z powodu wczorajszego wieczoru. Wiedziałem, że to nie pani wzięła tę bransoletę, ale byłem wściekły, sfrustrowany i... I nic innego nie przychodziło mi do głowy. W końcu pomyliła się pani dwa razy...

Już myślał, że udało mu się ją udobruchać, jednak kiedy usłyszała ostatnie zdanie, spytała lodowato:

- Dwukrotnie? Pomieszałyśmy prezenty dla pańskiej rodziny, to raz. A drugi?

- Nieważne, naprawdę.

- Dla mnie ważne. Kiedy? - powtórzyła z naciskiem.

Nie chciał, żeby nabrała o nim jeszcze gorszej opinii, postanowił jednak być szczerzy.

- Chodzi o te rzeczy, które kupiła mi pani na tamten wyjazd.

- Nie pasowały? - zmartwiła się.

- Pasowały doskonale. Wyglądałem jak żywa reklama Calvina Kleina.

- A co w tym złego?

Chciał sprowadzić rozmowę na tory bardziej osobiste, jednak nie bardzo mu się udawało. Jade odpowiadała zdawkowo i wciąż zachowywała dystans. A przecież dobrze pamiętał wczorajszy pocałunek i wiedział, że w dziewczynie tli się prawdziwy ogień.

- Prawdę powiedziawszy, to Natalie poleciła na mnie ze względu na pani gust w zakresie mody. Zobaczyła mnie w tamten weekend i nabrała o mnie wielkiego mniemania.

Jade wstała, przerzuciła torbę przez ramię.

- Naprawdę chce mi pan o tym opowiadać? Przykro mi, że z mojego powodu poczuł się pan nieszczęśliwy. Instynkt zazwyczaj mnie nie zawodzi, w pana przypadku słyszałam jednak tylko głos w słuchawce telefonu i na tej podstawie musiałam podejmować decyzje. Wyobraziłam sobie, że jest pan... - urwała i spojrzała na niego z zakłopotaniem.

Jack z uwagą czekał na ciąg dalszy.

- Pomyślałam, że jest pan kawalerem i dodatkowo kimś w rodzaju... w rodzaju playboya.

- I wszystko to wywnioskowała pani na podstawie telefonicznego zamówienia?

- Pana głos był taki...

- Jaki?

Wzruszyła ramionami, odwróciła się i ruszyła w kierunku sklepu ze zwierzętami.

- Teraz to chyba nie ma żadnego znaczenia.

Jack przytrzymał jej rękę, upewniwszy się wcześniej, że Andy i Ashley nadal są pochłonięci podziwianiem kociąt.

- Ma znaczenie - odezwał się. - Wczorajszy pocałunek też miał znaczenie. I to wielkie. Chyba pani nie myśli, że pozwolę jej teraz odejść, ot, tak sobie, jakby nic się nie stało.

Szarpnęła się, ale chyba bez większego przekonania.

- Jeszcze dwanaście godzin temu uważał mnie pan za złodziejkę!

- Byłem głupi. I teraz znowu wyjdę na głupca, jeżeli pozwolę pani odejść. Zje pani dziś ze mną kolację?

Spojrzała na niego kompletnie zaskoczona, otworzyła usta, jakby słówko „tak” miała już na końcu języka, jednak po chwili pokręciła przecząco głową.

- Jutro są walentynki, mam milion rzeczy do zrobienia. Puścić ją, lecz Jade nie odaliła się, jak oczekiwał, tylko stała spokojnie, zwrócona w stronę sklepu zoologicznego.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Pytałem, czy zje dziś pani ze mną kolację.

Teraz ruszyła przed siebie szybko, jakby chciała uciec przed odpowiedzią.

- Powiedziałam, że jestem zbyt zajęta.

- A poprzednie pytanie? - Wydłużył krok, żeby za nią nadążyć. - Jaki właściwie był ten mój głos? Co takiego pani w nim usłyszała?

Zatrzymała się gwałtownie, odwróciła do Jacka. Zniknęło całe jej opanowanie, zaczerwieniła się, oczy jej błyszczały.

- Pomyślałam, że pański głos jest słodki jak miód i że musi być pan atrakcyjnym facetem. Zadowolony? Może pan

to wpisać na coraz dłuższą listę moich pomyłek.

Znów ruszyła, lecz Jack ponownie ją zatrzymał.

- W takim razie proszę pójść ze mną na kolację i pozwól mi udowodnić, że nie była pani w błędzie.

- Jestem zajęta.

- Po szóstej i tak nie może pani robić zakupów, niezależnie od ilości zleceń.

- Wieczorem muszę wszystko popakować.

- No dobrze - powiedział. - Wydaje mi się jednak, że oboje stracimy coś miłego jedynie dlatego, że ja również źle panią osądziłem na podstawie głosu.

Odwrócił się, zadowolony niczym wędkarz, który umiejętnie zastawił przynętę, i zaczął iść wolnym krokiem w stronę sklepu. Udało się! Tym razem Jade złapała go za rękę.

- A jak brzmiał mój głos?

- Skoro jest pani przekonana, że nie chce się ze mną spotkać, to jakie to ma znaczenie?

W jej oczach można było wyczytać, że przejrzała jego gierkę. Mimo to nie wpadła w irytacji lecz powiedziała:

- Pan nalegał, żebyśmy opisała swoje wrażenia. I zrobiłam to.

Udawał przez chwilę, że się zastanawia.

- Zgoda - westchnął - powiem pani. Myślałem, że mam do czynienia z głupiotką blondyneczką uczesaną

w koński ogon, która zarabia na życie tym, co stanowi jej ulubioną rozrywkę.

- Wypraszam sobie!

- Cóż, jeśli nie pójdzie pani ze mną na tę kolację, to nie będę mógł przekonać się, że byłem w błędzie. A pani nie będzie miała okazji przekonać się, czy pierwsze wrażenie na mój temat było słuszne.

- Kiedy ja naprawdę nie mam na to czasu - powtórzyła swoją śpiewkę, lecz już ze znacznie mniejszym przekonaniem, co było wielce obiecujące. -

- Zabiorę ze sobą dzieci - zaproponował głośno, by mogły go usłyszeć. I tym razem się udało: podbiegły natychmiast i uczepliły się jego spodni.

- Gdzie nas zabierzesz? Dokąd się wybieracie?

- Usiłuję namówić Jade, żeby wybrała się z nami na kolację - rzucił niewinnie Jack.

Ashley, jego prywatna broń nuklearna, złapała Jade za ręce, zaczęła podskakiwać i błagać, aż wreszcie ta nie miała już wyjścia i musiała się zgodzić.

Spojrzała oskarżycielsko na Jacka ponad głowami dzieci.

- To było... - szukała odpowiedniego słowa, świadoma obecności maluchów - to było bezwzględne - zdecydowała się wreszcie na łagodny eufemizm.

- Stawka była wysoka. Bezwzględny i atrakcyjny, to cały ja. Więc zgoda? - Wyciągnął do niej dłoń.

Wahała się jeszcze przez chwilę, lecz w końcu podała mu rękę. Gdy zaś to zrobiła, rękaw jej płaszcza nieco się zadarł i Jack ujrzał na jej przegubie bransoletkę z księżniczką Pocahontas.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Jak to chore? - Jack usiłował dowiedzieć się czegoś więcej, gdy tylko służąca odebrała od niego aktówkę. - Oboje? Rano miały się świetnie.

Isabel przytaknęła, jak zwykle pobłażliwa i pogodna.

- Wydaje mi się, że ich choroba jest natury romantycznej - spostrzegła zakłopotanie pracodawcy i dodała szybko: - mam na myśli pański romans.

Pokręcił głową i ruszył schodami na górę.

- Chwileczkę, niech pan zaczeka - zatrzymała go. - One starają się panu pomóc, panie O'Brian. Z przyjemnością zajmę się nimi wieczorem, nie mam żadnych planów.

Pokiwał ręką na znak, że docenia tę ofertę, i ruszył dalej

Ashley leżała w łóżku na wznak. Była apatyczna, kredowoblada, w ramionach ścisnęła ulubionego niedźwiadka. Wyglądała jak ofiara katastrofy albo porzucona przez rodziców sierota.

Jack usiadł na krawędzi jej łóżka. Nie był pewien, ale zdawało mu się, że mała upudrowała sobie na biało policzki. W powietrzu wyraźnie było czuć zapach zasyпки dla dzieci.

- Cześć, tato... - powitała go omdlałym głosem.

Wziął córkę za rękę. Była gorąca i sucha, również pachniała pudrem.

- Witaj, głuptasie - uśmiechnął się smutno, udając, że się martwi. - Isabel powiedziała, że masz grypę.

- Tak... - głos dziewczynki załamał się dramatycznie. - Wszyscy w szkole mają. Chyba nie będę mogła iść z tobą dziś wieczorem.

To się nazywa intryga, pomyślał.

- Jesteś pewna? Chciałem wziąć Jade do Michelle'a, tam serwują te lody czekoladowe, które tak lubisz.

Zawahała się przez chwilę, najwyraźniej zastanawiając się, czy nie poświęcić opracowanego wraz z bratem podstępu dla wspaniałego poczęstunku. Szczytny cel zwyciężył jednak słabość do słodyczy.

- Może pójdziemy następnym razem.

Nachylił się i pocałował córkę w policzek, z trudem zachowując powagę.

- Więc może zadzwonię do Jade i powiem jej, że chorujecie i nie będę mógł...

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie. - To byłoby niegrzeczne. Już raz sprawiliśmy jej przykrość. Musicie się spotkać i dobrze się bawić.

- Cóż, skoro jesteś tego pewna...

- Jestem pewna.

Teraz pora na Andy'ego, pomyślał i zbliżył się do łóżka chłopca. Ten leżał na brzuchu z jedną ręką zwieszoną bezwładnie w dół. Jack usiadł obok syna, poklepał go delikatnie po łopatkach.

- Jak się masz, mały?

Andy obrał inną strategię. Nie był blady, lecz podejrzają-

nie czerwony, zwłaszcza na policzkach. Pewnie użył jakiegoś kosmetyku, bo opuszki jego palców były purpurowe.

- Myślę... mam chyba... gorączkę... - wykrztusił, z trudem łapiąc powietrze. Pokazał zaczerwienione policzki. - Wydaje mi się, że to... zaburzenia... zaburzenia krążenia. Ale... nic mi nie będzie. Idź, tato... idź beze mnie.

- Andy - Jack odezwał się poważnym głosem - wydaje mi się, że będzie potrzebny ci lekarz

- Isabel mówiła, że telefony wysiadły.

- Doprawdy?

- Tak. Próbowata się do ciebie dodzwonić i powiedzieć o tej chorobie, ale... nie mogła. To pewnie te plamy na Słońcu. NASA też ma z nimi kłopoty.

Jack zastonił dłonią usta, by stłumić śmiech. Jeśli jego kancelaria padnie, zawsze może udać się do Hollywood ze świetnym materiałem na rodzinny serial komediowy.

- Jade liczyła, że spotkamy się razem. Ja, ona, ty i Ashley. Ale ty jesteś chory, Ashley ma grypę...

- Tak... słyszałem - Andy zaniósł się spazmatycznym kaszlem. - Może będziesz mógł... przyprowadzić tu Jade po kolacji... żeby się z nami zobaczyła.

- Wiesz co? Powiem ci, że w takiej sytuacji wcale nie jestem pewien, czy powinienem iść na to spotkanie.

Andy z wysiłkiem przekręcił się na bok, chwycił ojca za rękę. Spojrzał mu poważnie w oczy.

- Chcę, żebyś poszedł, tato. Potrzebny ci romans. Proszę, sprawisz mi przyjemność. Nie umrę przed twoim powrotem, obiecuję.

- Cóż - poklepał syna po ręce - skoro obiecujesz....

Jade otworzyła drzwi i zaniemówiła z wrażenia. Jack miał na sobie czarne spodnie, koszulę i kurtkę - wszystko to, co kupiła dla niego na tamten wyjazd. Choć twierdził, że te rzeczy nie są w jego guście, to jej zdaniem pasowały do niego idealnie. Pogratulowała więc sobie jeszcze raz uda-

nego wyboru opartego wyłącznie na własnej intuicji.

Zresztą

cokolwiek by na siebie założył ten mężczyzna, i tak wyglądałby jak model reklamujący najnowsze kolekcję.

Rozejrzał się po mieszkaniu, dojrzał parę kociąt i wyciągnął rękę, by je pogłaskać.

- O, kupiła je pani.

- Są dokładnie takie, jakich życzył sobie klient. -

Wzięła je na ręce, zanurzyła na chwilę twarz w miękkim futerku, po czym wpakowała kociaki do wysokiego koszyka ustawionego w pobliżu wentylatora z nagrzewnicą. Miauczały wysokimi, cienkimi głosikami, spoglądając z wyrzutem na opiekunkę. - Problem tylko w tym, czy jutro będę potrafiła się z nimi rozstać. Bądźcie grzeczne, maluchy.

Dopiero teraz zorientowała się, że kogoś brakuje.

- Dzieci czekają w samochodzie? - spytała.

Pokręcił głową, podając jej płaszcz.

- Niestety, Ashley dostała ostrego ataku grypy, a Andy cierpi z powodu gorączki i złego krążenia. Nie mogły przyjść.

Tak bardzo zaniepokoiła ją ta informacja, że postanowił oszczędzić jej zmartwień.

- A tak naprawdę - uśmiechnął się - to zmówiły się z moją gospożą. Isabel pożyczyła Andy'emu róż, by wyglądało, że ma gorączkę, a Ashley zużyła tyle pudru dla

RS

niemowląt, że można by nim zatkać kanalizację w całym domu.

Jade roześmiała się wesoło.

- Myślałam, że chciały iść.

Zamknął za nią drzwi i oboje wyszli na korytarz, a potem do windy.

- Nie dostrzega pani motywu ich postępowania?

Jade wcisnęła najniższy guzik i z zakłopotaniem odwróciła się do towarzysza.

- Wybrały panią - wyjaśnił krótko, a gdy rozległ się dzwonek i drzwi rozsunęły się na parterze, dodał: - Nie ma sensu się sprzeciwiać.

Położył dłoń na jej ramieniu. Poczwała jego bliskość tak intensywnie, że serce podeszło jej z wrażenia do gardła.

- Wybrały mnie? Na kogo?

- Na matkę - odparł całkowicie spokojnie.

Oczekiwała, że roześmieje się, zrobi coś, by obrócić to w żart, on jednak zachowywał się tak, jak wtedy, kiedy

otworzyła mu drzwi: był uśmiechnięty, pełen wdzięku, ale w głębi duszy poważny i z wyraźnie przemyślanymi zamiarami. Zakręciło jej się w głowie na samą myśl o tym, jakie mogą być te zamiary.

- Wyjaśnił im pan pewnie, że miał mnie za złodziejkę i nieudacznicę.

Uśmiechnął się tylko, po czym delikatnie otoczył ją ramieniem i poprowadził do samochodu. Otworzył drzwi od strony pasażera, jedną rękę oparł na krawędzi drzwiczek, drugą o dach auta.

- Nie myślałem tak i nie myślę - sprostował. - Lindy zadzwoniła do mojego biura i wyjaśniła całe to za-

mieszanie. Swoją drogą musi być z pani bardzo szlachetna osoba, skoro ją pani zatrudnia.

Jade znów ogarnęło słodkie ciepło.

- Ona zawsze chce dobrze...

- Ja także. Zawsze staram się, by moje dzieci osiągnęły to, czego pragną, o ile uznam, że wyjdzie im to na dobre.

Zaniemówiła na chwilę. Chyba nawet nie uświadamiała sobie, jaka sugestia kryła się za tą wypowiedzią.

- Myślałam... że... Natalie...

- Nie - znów się uśmiechnął, jakby dziwił się teraz swoim wczorajszym zauroczeniom. - Natalie jest śliczna, może się podobać, ale jak sama pani zauważyła, brak jej poczucia humoru. A kiedy wychowuje się dzieci, to bywa tak, że bez niego nie sposób utrzymać się na powierzchni.

Jade przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło.

- Nie przeoczył pan przypadkiem faktu, że jeśli pozwoli pan wybrać matkę, to wybór pańskiej żony będzie także ich decyzją?

- Jestem dobrym prawnikiem - odparł - nic nie uchodzi mojej uwadze. Jeśli pani będzie zainteresowana, dogadamy się jakoś.

- Skąd pan wie, że mam niezbędne poczucie humoru?

- Kupiła pani przecież tę czerwoną koszulę nocną, nieprawdaż?

Na kolację powiózł ją kilkanaście mil wzdłuż wybrzeża do „The Cove”, nocnego klubu położonego nad urwistym brzegiem oceanu. Jade wiele razy rezerwowała tam stoliki dla klientów, lecz sama nie miała jeszcze okazji odwiedzić tego miejsca.

Wystrój nawiązywał stylem do lat trzydziestych. Nie- wielkie stoliki oświetlały lampki w kształcie tulipanów, dając tylko tyle światła, ile trzeba było do odczytania menu, toteż na sali panował przyjemny, intymny półmrok. Był to zdecydowanie lokal dla par. Zespół grał nastro- jowe, romantyczne kawałki, za oknami zaś panowała cie- mność, rozświetlana jedynie rytmicznymi rozbłyskami la- tarni morskiej na Wrecker Rock.

Do stołu podano im smażone krewetki, ryż i słodkie ziemniaki - istny majstersztyk sztuki kulinarnej - ale Ja- de trudno było skoncentrować się na rozkoszach podnie- bienia. Cały czas tkwiła w napięciu, bojąc się, że straci panowanie nad sytuacją.

A nie było to trudne, bo Jack był taki czarujący, taki dowcipny, taki przystojny. Stanowił podwójne zagroże- nie: budził zainteresowanie i sam wyrażnie się nią inte- resował. Nie próbował być w centrum uwagi; opowiadał wprawdzie zabawne historyjki z sądu, lecz jednocześnie wypytywał o jej pracę i sprawiał wrażenie, że mógłby słuchać Jade w nieskończoność.

W pewnej chwili sięgnął przez stół i chwycił jej rękę. Spojrzał na bransoletkę z Pocahontas na jej przegubie.

- Wciąż pani to nosi? - zdziwił się.

- To prezent. Chciałam dziś rano zwrócić ją Ashley, ale powiedziała, że mam to zatrzymać.

Mocniej ścisnął jej palce. Kapela zaczęła grać tęsk- nego bluesa, więc od razu wstał bez słowa i poprowadził Jade na parkiet. Szykowała się na ten moment całe po- południe. Nie wiedziała, czy na pewno nastąpi, starała się jednak być przygotowana na taką ewentualność. Nie

przygotowała się tylko na ten błysk w przepastnych ciemnych oczach, na tę wyraźną sugestię, wyznanie i zaproszenie jednocześnie.

Czy to naprawdę ona, Jade Barclay, wywarła na nim takie wrażenie?

Nie pozwolił jej myśleć zbyt długo, gdyż zaraz pochylił głowę, szukając ust Jade. Ofiarowała mu je bez namysłu.

I było cudownie - choć zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. Teraz on przejął inicjatywę. Tego pocałunek był czuły, lecz namiętny. A przede wszystkim długi, jakby Jack chciał mieć czas, by poznać wszystkie emocje, które ona w tej chwili odczuwała, jakby domagał się od niej coraz to innych reakcji.

I Jade zdradziła mu bez słów te swoje sekrety...

Tak, też jestem trochę w tobie zakochana. Tak, pragnę dowiedzieć się czegoś więcej. Tak, boję się, lecz ciekawość jest silniejsza od strachu.

Wreszcie udzieliła mu najważniejszej odpowiedzi, tej, której tak bardzo pragnął: objęła go za szyję i oddała równie gorący pocałunek.

Jack czuł się tak, jakby ręka jakiejś nadprzyrodzonej istoty wyciągnęła ku niemu upragniony upominek.

Kiedyś czuł zawsze obawę, kiedy układało mu się w życiu zbyt gładko. Zupełnie jakby bał się, że za chwile szczęścia przyjdzie w przyszłości płacić cierpieniem. Teraz jednak nie zaprzętał sobie głowy tym, jak doszło do tego, że jest szczęśliwy. Nauczył się już, że ta ludzka arytmetyka ma się nijak do Boskich zamysłów i że los równie łatwo zabiera jak obdarowuje. Uznał, że szkoda

czasu na dociekanie, czemu tak się dzieje. Z wyrokami przeznaczenia trzeba albo się pogodzić, gdy przynoszą rozczarowanie, albo z nich cieszyć - gdy dają radość.

Jade oparła w tańcu głowę na jego ramieniu.

- Musimy pamiętać - wyszeptała - że to dopiero dwa dni. A przez jeden z nich uważałeś mnie za kryminalistkę.

- To nie tak - zaprzeczył, zmuszając się, aby nie zgubić rytmu. - Byłem tylko wściekły. Twoja pomyłka uratowała mnie przed popełnieniem wielkiego głupstwa. Nie potrafiłem się do tego przyznać i dlatego na ciebie nawrzeszczałem.

- A nie sądzisz, że to, iż zniknęła rzecz warta dwa tysiące dolarów, też mogło mieć z tym coś wspólnego?

- No, może trochę... - Pocałował ją w policzek, żeby upewnić się, czy naprawdę jest rzeczywista.

- Nie przejmuj się. Moja firma zapewnia natychmiastowy zwrot kosztów, jeżeli klient jest niezadowolony. Odniosę jutro bransoletkę i dopilnuję, żeby wykreślono ją z twego rachunku.

- Nie ma potrzeby - zamruczał jej do ucha. Och, jakże wspaniale ta kobieta do niego pasowała! Piersi ocierające się o jego tors, smukła talia, którą obejmował, naturalna subtelność i delikatność łagodząca jego frustracje.

- Mam jutro spotkanie z klientem, więc mogę sam się tym zająć w drodze z biura. I wymienić na coś, co przypadłoby ci do gustu. Chcesz?

Jade oparła czoło o podbródek Jacka i poruszyła ręką, by usłyszeć dzwonienie jej „bizuterii”.

- Dzięki, ale mam już bransoletkę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Nic z tego nie rozumiem - szeptwała Jade. Skradali się dookoła domu, chcąc dotrzeć do tylnego wejścia. - Skoro są takie sprytne, że zastosowały wobec ciebie tę sztuczkę, to czy nie będą teraz udawać, że śpią?

Jack pokręcił głową. Jakaż ona naiwna! Przekręcił gałkę w drzwiach i wyjaśnił:

- Kiedy już osiągną to, co chciały, przestają udawać. Poza tym dzisiaj powtarzają w telewizji wszystkie części „Gwiezdných wojen”. Andy ma je co prawda na kasetach, ale i tak nie opuści żadnej emisji. Do tego jutro nie ma szkoły.

Miał rację. Dzieciaki siedziały na kanapie (oczywiście i jedno, i drugie tryskało zdrowiem) i gapiły się w ekran. Każde z nich trzymało miseczkę prażonej kukurydzy i puszkę z napojem, a pośrodku siedziała gospoia.

Gdy Jade z Jackiem weszli do salonu, Isabel natychmiast wyłączyła telewizor. Ashley natomiast, bynajmniej nie zmieszana, że nie zdradza żadnych objawów choroby, rzuciła się z entuzjazmem ku swej kandydatce na nową mamusię.

- Dobrze się bawiliście?

Jade przysiadła na brzegu sofy.

- No cóż, trudno było się nam odprężyć. Cały czas

niepokoił się o ciebie i Andy'ego. Czy grypa już przeszła?

- Taak... - Dziewczynka rozpostarła ramiona, jakby chciała pokazać, jak bardzo jest zdrowa.

- Z twoim krążeniem też wszystko w porządku? - Jade zwróciła się do chłopca. Dotknęła jego chłodnego policzka. - Bo gorączki to chyba już nie masz.

- Chyba nie. Po prostu kiedy ciało trochę się przechłodzi, krew zaczyna lepiej przepływać - wyjaśnił, jednak w przeciwieństwie do siostry czuł, że jego historyjka wydać się może naciągana, toteż spoglądał z niepokojem to na ojca, to na jego przyjaciółkę.

Jack podrapał się w głowę.

- Kurcze pieczone, co się dzieje? Taka gorączka zazwyczaj utrzymuje się przez kilka dni. Jak wyjaśnić to nagłe ozdrowienie?

Andy przez chwilę był zmieszany.

- Może to cud? - wydukał wreszcie.

- Tak, to wyjaśniałoby całą sprawę... - Jade pokiwała z powagą głową. Spojrzała na Jacka - ledwo powstrzymał się od śmiechu.

Postanowiła nie kłopotać więcej dzieci trudnymi pytaniami i pomogła Jackowi położyć je do łóżek. Gdy Jack zszedł na dół po misia dla Ashley, który został w salonie, dziewczynka usiadła na posłaniu i zapytała z przejęciem:

- I co? Zakochałaś się?

- Trudno się zakochać w ciągu jednego wieczoru - uśmiechnęła się i ułożyła Ashley z powrotem, przykrywając ją kocami. - Żeby kogoś dobrze poznać, trzeba trochę czasu. A co dopiero pokochać.

- Nieprawda. Tata i mama zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. To znaczy, jak tylko się zobaczyli.

Jade spróbowała wyobrazić sobie kobietę, która zakochała się w Jacku O'Brianie od pierwszego wejrzenia. Kiedy to było? Ile miała lat? Czym go ujęła? I czy bardzo po niej rozpaczła?

- Pewnie musieli być bardzo szczęśliwi, skoro urodziła im się dwójka takich ślicznych dzieciaków. Ja nie jestem taka szybka.

- Czemu?

- Bo lubię zastanowić się nad tym, co robię.

Trafiło to Ashley do przekonania.

- No tak. Tata zawsze powtarza, że najpierw trzeba pomyśleć, a dopiero potem działać.

- Bardzo słuszna rada. - Wyciągnęła rękę, żeby poprawić małą poduszkę, a wtedy Ashley dostrzegła błysk bransoletki na jej przegubie.

- Nosisz ją!

- Oczywiście. Przecież to prezent od wyjątkowej dziewczynki.

- Więc mnie kochasz, choć musisz się jeszcze namyśleć, żeby pokochać jego.

Jade nie odpowiedziała, gdyż do sypialni wszedł Jack, podał córce misia i ucałował ją na dobranoc. Była pewna, że usłyszał ostatnią uwagę Ashley.

W pokoju Andy'ego ściany udekorowane były plakatami ze statkami kosmicznymi wszelkiego rodzaju: zarówno tymi prawdziwymi, jak i powstałymi w wyobraźni autorów po-

wieści science-fiction. Znad łóżka spoglądała twarz Harrisona Forda w scenie z „Gwiezdnych wojen”.

RS

Jade wskazała ten plakat i roześmiała się.

- Miałam taki sam.

- Lubisz go? - Andy uniósł się na łokciu wyraźnie zdumiony.

Jade pocałowała chłopca w policzek, posyłając jego ojcu rozbawione spojrzenie.

- Kto nie lubi Harrisona Forda? Podobają ci się „Gwiezdne wojny”?

- Jasne! Zostanę kiedyś pilotem statku kosmicznego!

- Jeśli bardzo będziesz chciał i będziesz ambitny, pewnego dnia uda ci się tego dokonać.

- Myślisz, że zostanę badaczem galaktyki?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Mam tylko nadzieję, że będziesz tam zbierał dla mnie zamówienia na wszystkie ziemskie dobra, a potem dostarczał je w imieniu mojej firmy.

- Będziesz moim pierwszym kontrahentem. - Chłopiec potrząsnął dłonią dziewczyny.

- A ja zajmę się kwestiami prawnymi - dorzucił Jack.

- O rany! - Andy klepnął rękę ojca otwartą dłonią.

- To będzie prawdziwie rodzinny interes! - Najwyraźniej przeoczył fakt, że Jade nie należy do rodziny. - Musimy jeszcze wymyślić coś dla Ashley.

- Nie wzięłybyś jej do załogi? - zasugerowała Jade.

- Nie mogę na niej polegać. Poza tym powinna zostać i pomagać tobie albo tacie.

- Ona chce tańczyć - podsunął Jack. - Może można by zorganizować jej tournee na twojej trasie? Mógłbyś mieć ją na oku.

- A ty gdzie będziesz?

- Tutaj. Z Jade.

Pomysł w zasadzie spodobał się chłopcu, nie odpowiadało mu tylko to, że zostawiają go samego z siostrą.

- Może do czasu, kiedy nasza kompania oderwie się od ziemi, znajdziemy jej męża?

- Kto wie? - Jack ucałował syna na dobranoc, zgasił światło i sprowadził Jade na dół.

- Kawy? - zaproponował, gdy znaleźli się w salonie. Miała ochotę zostać, ale nie czuła się pewnie w tym domu, w obecności dzieci. Z natury była ostrożna, wyjaśniła to już Ashley.

- Dzięki - odparła - ale powinnam chyba wrócić do domu. Jutro to dla mnie Godzina „Zero”. Muszę jeszcze popakować mnóstwo rzeczy, a poza tym jestem pewna, że z samego rana pojawią się zamówienia składane w ostatniej chwili.

Sądziła, że Jack będzie nalegał, by została, lecz on nic nie powiedział. Nie wiedziała, czy ma się z tego powodu cieszyć, czy też czuć rozczarowana. Odwiózł ją do domu i wjechał wraz z nią windą na jej piętro. Już miała przekręcić klucz w zamku, kiedy przytrzymał jej rękę. Jade otworzyła usta ze zdumienia, a wtedy on wykorzystał to i pocałował ją szybko. Odsunął się, uśmiechnął, po czym zganił ją łagodnie:

- Okłamałaś moją córkę.

- Kiedy?

- Powiedziałaś jej, że mnie nie kochasz.

Kąćki jej ust uniosły się do góry.

- Nie wiem dokładnie, co czuję. Ty też pewnie nie do końca zdajesz sobie z tego sprawę.

- Tak, jak najbardziej... - Pokiwał głową.

Z drugiej strony drzwi rozległo się miauczenie kociąt, które wyczuły chyba, że nadchodzi ich pani.

- Wiem, że ty i twoja żona zakochaliście się w sobie od pierwszego wejrzenia... Ashley mi powiedziała - wyjaśniła zdawkowo, widząc jego zdziwioną minę. - Ale ja nią nie jestem. Jestem inna. We wszystkim rozważna i ostrożna.

- Cóż, to nas różni. - Przyglądał się jej twarzy tak uważnie, że poczuła się zakłopotana. - Skoro jest się rozjemcą w sądzie, trzeba myśleć i działać szybko. Tylko wtedy można postawić na swoim. A w tobie też się zakochałem od pierwszego wejrzenia, wiesz? Zawsze postępuję w ten sposób.

- Czemu więc posłałeś mnie, bym robiła zakupy dla innej?

- Bo to, co do ciebie poczułem, przerastało mnie - odpowiedział szczerze. - Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie to zignorować, zdusić w sobie - roześmiał się na wspomnienie płonnych nadziei. - Lecz miłość jest silniejsza. Zamykałem oczy i widziałem twój twarz. Otwierałem je i znów cię widziałem.

Jade westchnęła tylko i ponownie podała mu usta. Przytulił ją tak mocno, że zabrakło jej tchu. Boże, jak Humprey Bogart w „Casablance”, pomyślała i uśmiechnęła się do własnych myśli.

I trwali tak w miłosnym zjednoczeniu, dopóki Jade nie poczuła poprzez pończochy ostrych jak szpilki pa-

żurków. Otworzyła oczy, by stwierdzić, że niepostrzeżenie znaleźli siew przedpokoju jej mieszkania. Widocznie musieli oprzeć się o drzwi.

Natychmiast rzuciła się na podłogę, by schwytać kocięta, które miały ochotę sprawdzić, co dzieje się na korytarzu. Jack pomógł jej, a potem pożegnał się i ruszył w kierunku windy.

- Tym razem nie popełnij błędu, Jade. Kocham cię, pamiętaj - rzucił na odchodne.

Większość nocy minęła Jade na pakowaniu prezentów. Zresztą i tak nie mogłaby usnąć. Gdy tylko wybiła siódma, rozdzwonił się telefon i zaczęła wysłuchiwać rozpaczliwych błagań o pomoc - głównie ze strony mężów i narzeczonych, którzy przegapili jakoś sklepowe, radiowe i telewizyjne reklamy, w których od tygodni trąbiono o zbliżających się walentynkach.

Przyjmowała kolejne zamówienia zadowolona, że może rzucić się w wir zajęć, a przez to nie rozmyślać o Jacku i dzieciach, nie pamiętać o dotyku jego warg, o ojcowskiej miłości do Andy'ego i Ashley. I o tym także, co powiedziała jej Ashley - że wie, iż Jade ją kocha.

I o tym, że Andy uznał ją za członka rodziny.

Przecież właśnie o coś takim marzyła podczas niezliczonych samotnie spędzanych nocy! I gdy pojawiła się szansa, że jej los może się odmienić, Jade ze zdumieniem spostrzegła, że ją to przeraża. Dlaczego? Bo brak jej było pewności, czy zdoła odwzajemnić całą tę miłość, którą nagle obdarowały ją aż trzy osoby.

Jack odezwał się w samo południe. Gdy tylko usły-

szala jego głos, przypomniała sobie owego ubranego na czarno mężczyznę i wszelkie postanowienia, że powinna trzymać wobec niego dystans, wzięty w łeb.

- Kiedy dziś kończysz? - zapytał.

Lindy oraz paru zwerbowanych przez nią przyjaciół kończyła właśnie pakowanie ostatnich zamówień i szykowała się do ich rozwiezienia. Przechodziła dzisiaj samą siebie, pracowała wydajnie jak nigdy dotąd. Jade przyszło do głowy, że może zmobilizował ją tak telefon do Jacka i wzięcie na siebie odpowiedzialności za popełnione omyłki.

- Już niebawem - odpowiedziała na pytanie Jacka.

- Jeszcze godzina czy coś koło tego.

- Świetnie. Możesz wyświadczyć mi przysługę?

- Cóż takiego? - spytała ostrożnie, nie chcąc z góry w nic się angażować.

- Syn Isabel pojechał w interesach na wybrzeże.

Chce, żeby matka dołączyła do niego na resztę weekendu.

Dzieciaki są u sąsiadki, ale tylko do drugiej. Jutro mogę się nimi zająć, ale dziś ugrzęźłem w biurze i muszę zostać jeszcze parę godzin, a nie mogę złapać swojej matki.

Gdybym podeśłał ci klucz, czy mogłabyś do mnie wpaść na trochę? Rozumiesz, chodzi o to, żeby był ktoś w domu, kiedy wrócą.

- No... - Jade starała się pamiętać, że obiecała trzymać go na dystans.

- Mogę zapłacić - zaproponował.

- Jack, gdybyś był pod ręką, dałabym ci po buzi za takie propozycje.

- Co w takim razie mam zrobić?

- Po prostu podeślij mi ten klucz.

- Dzięki. Kocham cię.
- Nieprawda.
- Ależ tak.
- Porozmawiamy o tym później.
- Liczę na to.

Dzieciaki były oczywiście zachwycone, kiedy zastały w domu Jade.

- Jak się tu dostałaś? - dopytywała się Ashley, chwytając dziewczynę za rękę i bawiąc się jej bransoletką.

- Zostałaś na całą noc? - Zdumiony Andy otworzył szeroko oczy.

- Nie - Jade wyprowadziła chłopca z błędu. - Jestem, bo Isabel musiała wyjechać, a tata musi trochę dłużej zostać w biurze.

- Fantastycznie! - Andy już prawie zdjął kurtkę, kiedy coś przyszło mu do głowy. - Mogłabyś zabrać nas do centrum? Kupilibyśmy coś dla taty na urodziny.

- Nie ma sprawy. - Jade podeszła do szafy dla gości, gdzie wisi jej płaszcz. - Kiedy przypada to święto?

- Dziś!

- Dziś? - Jade wlepiła w chłopca zdumione spojrzenie. - Nie wspominał o tym ani słowem.

Andy złapał dziewczynę za rękę i pociągnął w stronę drzwi.

- Bo tata nie lubi, żeby robić z tego wielkie wydarzenie. Babcia za to zawsze chce, żeby zebrała się cała rodzina, piecze tort i różne różności. Tym razem tata powiedział jej, że on ma za dużo pracy, a dla niej to zbyt wielki wysiłek.

- Pomyśleliśmy więc, że może my moglibyśmy zrobić dla niego małe przyjęcie - dodała Ashley.

Jade zastanawiała się przez chwilę. Koniec końców kupowanie prezentów urodzinowych to zasadnicza część jej pracy. Niewiele myśląc, wsadziła dzieciaki do samochodu.

Ashley kupiła ojcu czekoladę. Zwierzyła się Jade bez żadnego skrępowania, iż ma nadzieję, że tata podzieli się upominkiem z ofiarodawcą. Andy natomiast wynalazł spodenki z nadrukowanymi serduszkami, które świeciły w ciemności. Uparł się, żeby wszyscy weszli do przymierzalni. Sprzedawca zgasił nawet światło, żeby lepiej było widać, i Andy rozpromienił się, widząc jasnożółte refleksy.

Jade zastanawiała się, jaki prezent dla Jacka byłby najmniej zobowiązujący, wreszcie kupiła tort. Dzieci wybrały taki, na którym cukiernik umieścił figurkę myśliwego z labradorem u nogi, nad którego głową leciały kaczki.

Wracając, Jade wstąpiła do siebie po papier, etykiетки i serwetki urodzinowe, żeby dzieci mogły popakować swoje zakupy.

Gdy Ashley znalazła na podłodze zabawki, którymi bawiły się kocięta, zainteresowała się nimi od razu i zapytała:

- Oddałaś już zwierzątka tej pani? Spodobały się jej?
- Jej córka odebrała je w porze lunchu, wieczorem ma zawieźć je matce.
- Mam nadzieję, że ona je polubi.
- Też tak myślę - zgodziła się z matką Jade.

Gdy wrócili do domu O'Brianów, na podjeździe stały trzy samochody, lecz żaden z nich nie należał do Jacka.

- Babcia! - wrzasnęła Ashley, wskazując na mały tłumek stojący na progu. - Ciotka Donna! I ciotka Di!

Dzieci wyskoczyły z samochodu, nim Jade zdążyła wyłączyć silnik. Zmierzchało, więc musiała wyteńczyć wzrok, by dostrzec wyraźnie Seline, Rossa i Dianę (tych zdążyła już poznać) oraz nieznaną sobie parę. Niemal wszyscy trzymali garnki z jakimiś potrawami.

- Cześć Jade! - krzyknęła Selina, wychodząc jej na przeciw. - Świetnie, że i ty się zjawiaś. Dziś urodziny Jacka!

- Dzieci już mi powiedziały. Jack prosił, żebym zajęła się nimi przez kilka godzin, bo Isabel pojechała odwiedzić syna.

- No i bardzo dobrze się złożyło. Możesz nas wpuścić? Mam swój klucz, ale nie wzięłam go. Myślałam, że będzie gosposia.

- Jasne. - Jade wyjęła klucz i spieszyła się po chwili, uświadomiwszy sobie, co może oznaczać ów fakt w oczach krewnych. - Jack mi go przysłał - usiłowała wyjaśnić niezręczną sytuację - bym mogła być na miejscu, kiedy Andy i Ashley wrócą do domu.

Selina wyglądała na zdziwioną tymi wyjaśnieniami.

- Tak, kochanie, rozumiemy, nie musisz tłumaczyć. Widzę, że masz tort. - Poklepała różowe pudło z cukierkami, które trzymała Jade. - Jeśli Jack myślał, że nie będziemy świętować jego urodzin, to znaczy, że do tej pory nie wie nic na temat własnej matki.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jack poklepał butelkę francuskiego szampana leżącą na siedzeniu pasażera. Samochód wyjechał z za rogu i już tylko pół przecznicy dzieliło go od celu. Jade była dokładnie tam, gdzie sobie życzył: u niego w domu. Chciał, żeby pozostała już w nim na zawsze.

Ciekaw był, jak jej się wiedzie samej z jego dziećmi. Po pierwszych godzinach mogło się okazać, że albo ją oczarowały i podbiły, albo doprowadziły do rozstroju nerwowego. Nieważne. Tak czy inaczej, Jade będzie jego, na dobre i na złe.

Był pewien, że będzie jego. Gdy weźmie ją w ramiona, z jej oczu zniknie smutek. Jade zapomni o obawach i lękach, które zawsze niesie ze sobą miłość, i da się ponieść radosnej pewności.

W tej samej chwili zobaczył samochody zaparkowane na podjeździe i wydał z siebie pierwotny ryk.

- Niiieeee!!! Nie, nie, nie -jęknął, zatrzymując auto za wozem Jade. - Tylko nie dzisiaj!

Uwielbiał swoją rodzinę, ale krewni mieli nieprawdopodobny talent do wdzierania się w jego życie prywatne z gwałtownością huraganu. I to zawsze wtedy, kiedy potrzebował spokoju i intymności.

Przez chwilę siedział bez ruchu, próbując zebrać się w sobie. W zgiełku, jaki musiał panować w domu, nie będzie miał możliwości, żeby spędzić choćby chwilę sam na sam z Jade. Nie mówiąc już o jej uwiedzeniu.

Nie zdążył jeszcze całkiem się nad sobą roztkliwić, gdy drzwi domu się otworzyły i wybiegła z nich Donna, a w ślad za nią jakiś mężczyzna, którego Jack nie rozpoznał, a który usiłował zarzucić dziewczynie swoją marynarkę na ramiona.

Spotkawszy brata w pół drogi, Donna objęła go za szyję.

- O! Wszystkiego najlepszego, Jack! To właśnie jest Henry Powell. Henry, to mój brat Jack, dzięki któremu się poznaliśmy.

Podając Henry'emu dłoń, Jack od razu rozpoznał w nim bratnią duszę. Kwaśny uśmiech wskazywał, że chłopak wolałby spędzić wieczór sam na sam z Donną zamiast brać udział w rodzinnych uroczystościach.

- Miło cię poznać, stary, ale żal mi cię, że musiałeś tu przyjeżdżać. Zapewne miałeś inne plany na dzisiejszy wieczór, co?

Mina Henry'ego zdradzała, że domysł był trafny, gość jednak taktownie zaprzeczył.

- Donna zapewniała mnie, że gotuje się szampański wieczór. I miała rację. Lojalnie uprzedzam, że twoja matka przywiozła ze sobą całą ekipę.

- Naprawdę? - Jack zauważył wystające z kieszonki koszuli Henry'ego kubańskie cygaro. - To może zostanemy przez chwilę na ganku. Ty sobie zapalisz, a ja będę rozkoszował się aromatem.

- Mam dwa. Spotkajmy się tu za chwilę - rzucił Henry z szerokim uśmiechem.

Donna ujęła obydwu pod ramiona i pociągnęła w stronę domu.

- Nie przyjechał tu, żeby z tobą palić, tylko żeby zajmować się mną!

Henry poklepał jej dłoń.

- Jedno drugiemu nie przeszkadza.

Donna jednak była niewzruszona i po chwili cała trójka znalazła się w oku cyklonu.

Od chwili kiedy wszedł do wypełnionego rozbawioną rodziną domu, Jack nie miał okazji zamienić z Jade ani słowa. Musiał spełniać toasty szampanem, który kupił w zupełnie innym celu. Zasiadłszy u szczytu stołu, musiał smakować kolejne z niekończącej się serii dań przygotowanych specjalnie przez matkę i Rossa, a potem prezydować zgromadzeniu przy kominku i wysłuchiwać pytań tak niejasnych, że i sam Bóg nie potrafiłby na nie odpowiedzieć.

Potem musiał śpiewać, a wreszcie otwierać prezenty.

- Nikt z nas nie korzystał z zakupów na zamówienie - oznajmiła Diane z godnością, robiąc oko do stojącej obok Jade. - Wszystko kupiliśmy osobiście.

- My wynajęliśmy Jade - przyznał Andy, po czym dodał gwoli wyjaśnienia: - Właściwie to jej nie wynajęliśmy, bo jej nie zapłaciliśmy, ale pomogła nam wybrać prezenty dla taty. Gratis.

- No - dodała Ashley - nawet je kupiła, bo nie starczyło nam pieniędzy.

- Ratuś się, póki możesz - krzyknął ktoś do Jade

z drugiego końca pokoju - jeśli nie chcesz robić za darmo zakupów dla nich wszystkich. W tej rodzinie co miesiąc przypadają jakieś urodziny. Oni świętują wszystko, nawet Dzień Świstaka.

- Tylko dlatego, że przypada w moje urodziny - wyjaśniła Diane. - Poza tym jest nas tylko ośmioro, no, z bliźniakami dziewięcioro. Ale tylko osiem dat urodzin. No więc nie ma uroczystości nawet co miesiąc. Nie ma urodzin... - policzyła w pamięci - w styczniu, kwietniu, wrześniu i październiku.

Ross podniósł dłoń.

- Przepraszam, ja jestem z kwietnia i także lubię prezenty. Mogę wam nawet powiedzieć jakie.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Dobiję was pewnie tą informacją - dorzucił Henry, który siedział z Donną na dywanie. - Ja jestem ze stycznia.

Rodzina roześmiała się jeszcze głośniej.

- W takim razie ty urodziłaś się we wrześniu, zgadłam? - Diane zwróciła się do Jade.

- Pudło. - Jade pokręciła głową. - Siódmego października.

Tym razem rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi.

Słuchając wszystkich tych żartów i pokpiwań, Jack zastanawiał się z coraz większym niepokojem, czy ktokolwiek z tej rozbawionej gromady zdaje sobie sprawę z maskowanej uśmiechem irytacji Jade.

Puścić w krąg pudełko czekoladek od Ashley i wszyscy zrywali sobie boki, kiedy wróciło do niego puste.

Później Andy zgasił górne światło i wszyscy mogli

podziwiać jego świecące w półmroku nowe spodenki. Znów kupa śmiechu.

Jade też się śmiała, ale jakby ze smutkiem, widział to wyraźnie. Chciał ją objąć, przytulić, zapytać o powód melancholii, jednak rodzina domagała się igrzysk. Musiał rozpakować kolejne prezenty: ciemnoniebieski sweter od matki i Rossa, zestaw filmów od Diane i Todda oraz pudełko kubańskich cygar od Donny i Henry'ego.

Wreszcie matka wniosła ogromny tort i mimo błagań oraz protestów solenizanta cała rodzina odśpiewała „Sto lat”.

- Kto przyniósł ten tort? - zapytał.
- My! - Andy i Ashley odpowiedzieli unisono.
- Ale przecież wasz tata nie poluje. - Diane uśmiechnęła się i wskazała dekorację.

Andy wzruszył ramionami, jakby nie było się nad czym rozwodzić.

- Wiem, ale spodobał nam się pies. Mogę dostać ten kawałek z brzegu?

Kiedy wreszcie wyszli, była prawie jedenasta. Wszyscy tłoczyli się wokół samochodów, wymieniali uściski i pocałunki, opowiadali sobie jeszcze jakieś plotki. Potem były znów uściski, ostatnie pożegnania, zapowiedzi kolejnych spotkań. A potem już tylko hałas uruchamianych silników i czerwone tylne światła aut. Pojechali.

Jade pomogła Jackowi położyć do łóżek wykończone dzieci, po czym skierowała się do gościnnej szafy z ubraniami.

- Hola! - powstrzymał ją, nim zdążyła sięgnąć po

płaszcz. Unieruchomił Jade, opierając ręce o drzwi po obu stronach jej ciała. - Gdzie się wybierasz? Nie mieliśmy możliwości zamienić ani słowa przez całą wieczór.

W oczach dziewczyny wciąż był smutek. Smutek i strach. Jack przytulił ją mocno, starając się przezwyciężyć ów dziwny dystans, który pojawił się między nimi w ciągu tego zwariowanego wieczoru. Pocałował ją, dając wyraz całej tęsknocie, która narastała w nim od wczoraj.

Kiedy zareagowała na pieszczotę, ulżyło mu trochę. Jade objęła talię Jacka, przytuliła się umie do niego i odwzajemniła pocałunek. Uspokojony, położył dłoń na jej biodrze, ona jednak odsunęła się o krok z ciężkim westchnieniem. W jej oczach widział wciąż ten sam niepokój i teraz już przestraszył się nie na żarty. Co się stało?

Przytrzymał ją, jakby bał się, że mu ucieknie, i powiedział:

- Wiem, mam straszliwą rodzinę.

Uśmiechnęła się nawet, ale wyszło to dość blade.

- Tak naprawdę to są niegroźni - ciągnął dalej. - Po prostu myślą, że powinni wiedzieć o wszystkim i starają się dyrgować twoim postępowaniem. Ale wynika to jedynie ze szczerzej troski o twoje dobro.

- Uważam, że są cudowni, naprawdę - odezwała się Jade zmęczonym głosem. - Polubiłam nawet te nasze dwie „pomyłki”, Rossa i Henry'ego.

- To były twoje pomyłki, Jade.

- W porządku. Przyznaję się do winy.

- Nie. - Potrząsnął nią łagodnie. - Wolę, żebyś przyjęła zaufanie, którym cię obdarzyłem. I wdzięczność. Zo-

bacz: moja matka zawsze jest radosna, ale teraz przeżywa prawdziwą ekstazę. Donna za to bardzo długo była sama, a tu taki Henry, wspaniały facet, idealnie do niej pasuje.

- Mhm, a ty będziesz mógł opalać go z cygar...

Wciąż była smutna, jakaś inna, nagle opadły jej skrzydła i przepadł gdzieś ten błysk w oku, za który tak ją lubił.

- Mam nadzieję, że nie uszło twojej uwadze, jak bardzo wszyscy cię polubili - próbował ją podbudować.

- Owszem, zauważyłam - odpowiedziała cicho.

- Co w takim razie cię gryzie?

- Nie sędzę, żebyś zrozumiał.

- W takim razie powiedz choć w przybliżeniu.

Pocałował czubek jej głowy, wziął Jade pod ramię i zaprowadził do kominka, przed którym stał duży wygodny fotel. Dołożył do ognia. Odwrócił się i zobaczył, że Jade zamiast mebla wybrała dywan. Usiadła z podwiniętymi nogami, podparła się łokciem i uśmiechnęła do niego. Cholera, znowu smutno!

Wyciągnął się obok, zamknął oczy i czekał na wyjaśnienia.

- Miałam cudownych rodziców - zaczęła mówić. -

Strasznie mi ich brakowało po tym wypadku. Postanowiłam wtedy, że jedyny sposób na samotność, to znaleźć sobie jak najszybciej cudownego męża i zapełnić dom dziećmi. Ale samotność to nie tylko to, że jest się samemu, wiesz o tym? To przede wszystkim pustka, świadomość, że nie masz gdzie ulokować swej miłości. Przypuszczam, że to rozumiesz, przecież też straciłeś bratnią duszę...

- To prawda - przyznał. - Ja jednak wciąż miałem dzieci i rodzinę. A ty? Zostałaś sama?

- Całkiem sama - przytaknęła. - Ach, pogodziłam się z tym. Miałam dobrą pracę, potem zaczęłam prowadzić ten interes... - Spojrzała zaczepnie na Jacka, który już jakiś czas temu otworzył oczy. - I naprawdę całkiem nieźle mi idzie. Jesteś jednym z niewielu niezadowolonych klientów.

- To nieprawda, że jestem niezadowolony - sprostował. - Jedyne powody do narzekań to to, że gadamy zamiast się kochać.

Miał nadzieję, że może ta uwaga rozbawi dziewczynę, ale efekt był wręcz przeciwny.

- No tak... Cóż, wydaje mi się, że to wszystko nie jest takie proste, jak sądziłam. - Odwróciła się ku niemu.

- Wiesz, co mam na myśli?

- Nie - przyznał szczerze. Bał się tego, co za chwilę miał usłyszeć. Nie wiedział, co to będzie, ale się bał.

Jade usiadła po turecku, szeroką spódnicę udrapowała wokół kolan. Wyglądała teraz jak kwiecisty ornament na czerwonej wełnie.

- To wszystko jest znacznie trudniejsze niż myślałam

- powtórzyła tę samą myśl raz jeszcze, tym razem jednak

mówiła szybciej, jakby koniecznie chciała coś z siebie wyrzucić. - Zawsze kochano mnie, otaczano troską, ale byli to przyjaciele, ich dzieci, klienci, niekoniecznie... mężczyźni. Teraz, kiedy spotkałam tego odpowiedniego, przekonuję się jak... jak...

Jackowi natychmiast ulżyło. Przyznała, że on jest „tym odpowiednim”. Z resztą jakoś sobie poradzi.

- ...jak mogłaś być tak niemądra i to kwestionować?
- odpowiedział usłużnie.

- Jack - uziemiła go wzrokiem - usiłuję opisać ci stan moich uczuć. Chcesz słuchać czy nie?

- To zależy, czy dalej masz zamiar wygadywać nonsensy.

- Uważasz moje uczucia za nonsensy?

- Za nonsens uważam to, że kwestionujesz swoją zdolność do kochania mnie. Sama to przyznaj.

- Nie przeczę, że cię Kocham - tłumaczyła rozdrażniona. - Zastanawiam się tylko, czy będę w stanie odplacić za miłość, którą i ty, i dzieci mnie obdarzacie.

- To śmieszne - nie chciał ustąpić ani o cal - przecież już to robisz!

- Ja? A co ja takiego robię? To twoja rodzina powinna dostać złoty medal za miłość!

- Mówiłaś, że twoi rodzice również.

- Kiedy dawali mi miłość, byłam dzieckiem. A teraz jestem dorosła. Muszę realizować wszystkie twoje potrzeby, przewidywać potrzeby dzieci. Muszę... I nie wiem, czy umiem, rozumiesz?

Uciszył ją pocałunkiem. Opierała się przez chwilę, lecz zaraz uległa. Instynkt podpowiadał jej, że nie powinna się opierać.

- Za każdym razem, kiedy cię dotykam, otwierasz się przede mną - szeptał jej do ucha - pozwalasz bardziej się zbliżyć. Gdy dotykają cię dzieci, przytulasz je. To wszystko jest miłość...

- Nie. - Wyrwała się z jego objęć, zerwała na równe

nogi. - Muszę iść. - Porwała torebkę i płaszcz i wybiegła do samochodu.

Jack ruszył za nią, choć wiedział, że nie zdoła zmusić jej do pozostania. Albo raczej - że nie powinien.

- Zachowujesz się jak szalona - powiedział spokojnie, gdy sadowiła się za kierownicą.

Odkręciła szybę.

- Usiłuję tylko cię chronić.

- Nie potrzebna mi twoja ochrona. Chcę, żebyś za mnie wyszła.

- Jesteś nienormalny!

- Ty też. A jeśli tak, to jesteśmy dla siebie stworzeni.

Jaka jest twoja odpowiedź?

Ruszyła z podjazdu z piskiem opon.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jade była już w połowie drogi, kiedy zorientowała się, że w jej kieszeni tkwi wciąż klucz do domu Jacka. Pewnie ma dragi zapasowy, pocieszyła się od razu. A jeśli nie, to co wtedy?

Klnąc własne roztargnienie, zawróciła i pojechała z powrotem. Nie zamierzała jednak wchodzić do środka. Nie, nie podejdzie nawet do drzwi. Włoży po prostu klucz do skrzynki na listy, a potem zatelefonuje do niego i powie, gdzie ma szukać zguby.

Przebywanie w towarzystwie Jacka było dla niej po prostu zbyt trudne. Cudowne, lecz trudne. Cały czas robiła zakupy dla takich facetów, no i masz - transakcja stulecia z dwójką dzieciaków na dodatek. Transakcja, której - o czym dobrze wiedziała - nie mogła zawrzeć. Bo co będzie, jeśli poślubi Jacka w pogoni za własnym szczęściem, a potem odkryje, że zrujnowała życie jemu i jego dzieciom?

Świetnie robiła zakupy swoim klientom, ale to wszystko, co umiała. A odpowiedzialność, troskliwość, macierzyństwo, podejmowanie decyzji w imieniu całej rodziny? Przerastało ją to i musiała się do tego przyznać.

Jack oczywiście tego nie rozumiał. Dla niego miłość była czymś dziecinnie prostym. Był do niej stworzony,

karmił się nią, uczył, żyjąc z niezwykłą kobietą, a potem z jej dziećmi. Ona, Jade, również urodziła się, by kochać, ale szybko zatraciła ten dar. Nie może więc narażać go na ból rozczarowania. Oto za chwilę po raz ostatni zobaczy dom Jacka O'Briana.

I pewnie plan ten by się powiódł, gdyby nie to, że Jack stał na ganku, paląc kubańskie cygaro.

Jade chciała zatrzymać samochód i przebiec do skrzynki i z powrotem, zanim zdąży zareagować, lecz nim jeszcze przebyła połowę drogi, Jack już był przy niej. Całował, obejmował, przytulał.

Chciała powiedzieć mu o kluczu, ale nie mogła, bo zamykał jej usta pocałunkami. Myślał zapewne, że wróciła, bo zmieniła zdanie, bo nie może bez niego wytrzymać, bo chce jednak za niego wyjść. Nie przestając całować, porwał ją na ręce, zaniósł do domu i postawił na ziemi w jakimś ciemnym, chłodnym pokoju.

- Jack! - szepnęła, gdy rozsunął suwak jej sukienki.

- Co takiego, kochanie? - Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją ponownie.

Chciała mu powiedzieć, że jej nie rozumiał, że nie zmieniła zdania i że nadal obawia się roli żony i matki, on jednak pieścił ją tak gorąco, z tak niewystawioną czułością, że mogła powtarzać jedynie dwa proste słowa:

- Jack... Kocham... Kocham cię. Kocham.

Gdy Jack usłyszał te słowa, poczuł przyływ nowej energii; Znow wstąpiła w niego nadzieja, a miłość, którą czuł do Jade, stała się jeszcze większa. Więc przekazywał ją całym sobą - dłońmi, które zdejmowały z niej bieliznę i które wodziły po jej pięknym ciele; wargami, które

szeptaly jej do ucha czule wyznania; spojrzeniem, które ogarniało z podziwem piękne piersi i biodra Jade.

Odsunął koce, ułożył ją na łóżku. Usiłował pozbyć się własnej koszuli i spodni, lecz Jade przywarła do niego tak mocno, że miał z tym poważne kłopoty.

Był zdumiony, lecz zarazem zachwycony nagłą śmiałością dziewczyny, która przewróciła go na plecy, uklękła nad nim i całowała do utraty zmysłów. Gdy złapał wreszcie oddech, przekonał się, że zdążyła już rozebrać go do pasa. Kiedy sięgnęła do suwaka spodni, poczuł, że znów zaczyna tracić zmysły.

Wyswobodził się i rozebrał do końca. Teraz on przejął inicjatywę. Poznawał ciało ukochanej dłońmi, ustami, językiem. Jade pojękiwała z rozkoszy, a jego uskrzydlało każde kolejne jęknienie. Krótco jednak był górą, bo oto Jade skradła jego pomysł i również rozpoczęła wędrówkę po jego nagim ciele. Pieścili się teraz wzajemnie.

Jack trzymał się jakoś, póki dłoń Jade nie dotarła do jego lędźwi. Musiał się bronić, bo bał się, że jeszcze chwiliła, a straci kontrolę nad sytuacją. Schwycił jej palce.

- To nie fair! - zaprotestowała.

- Jeśli będziesz dotykać mnie pierwsza, zupełnie stracę rozsądek.

- Nie wiedziałam, że miłość ma coś wspólnego z rozsądkiem.

- Z rozmowami także niewiele - odparował i zamknął jej usta pocałunkiem.

Już miał pogratulować sobie zwycięstwa, kiedy Jade zacisnęła jednak dłoń na najczulszej części jego ciała i momentalnie utracił kontakt z rzeczywistością. Dalej

działał już czysto instynktownie. Zatopił się w niej jak w rozkoszonym oceanie i poczuł, że on i Jade to jedno.

Jade nie zdawała sobie sprawy, że jej ciało kryje takie sekrety. Rozkosz napływała gdzieś z jej wnętrza, zalewały ją kolejne fale, aż wreszcie nie była już pewna, czy zdoła znieść jeszcze więcej.

Gdy świat powrócił na swoje miejsce, zdała sobie sprawę, że leży w ramionach Jacka, okryta wraz z nim ciepłym kocem.

To przyszło zbyt łatwo - taka była jej pierwsza myśl. Prawdziwe uczucie musi być dużo trudniejsze - brzmiała druga. Trzeciej już nie było, bo Jade błyskawicznie zapadła w sen. Napięcie opadło, jęki i okrzyki zastąpił równy oddech. Odruchowo objęła Jacka ramieniem, nogę przerzuciła przez jego udo. On zresztą nie miał nic przeciwko temu, żeby już na zawsze pozostać więźniem ukochanej kobiety.

Jade obudziła się, ujrzała słoneczne refleksy na ścianie sypialni i od razu zorientowała, że nie jest u siebie.

Leżała w sypialni Jacka O'Briana.

To niemożliwe, myślała. Takie szczęście nie mogło jej się przytrafić. Była przecież samotną Jade Barclay, która nie wie, co znaczy miłość.

Spojrzała w bok. Łóżko po stronie Jacka było puste.

Przyjęła to z ulgą i zebrała swoje rzeczy, by się ubrać. Ostatnia noc wpłynęła nawet na pogodę, stwierdziła, wyrzawszy przez okno. Słońce nigdy nie świeciło w lutym nad Oregon Coast.

Zapinała właśnie suknię, kiedy w drzwiach stanął

Jack. W dzinsach i swetrze podarowanym przez matkę wyglądał rzeźko i zdrowo.

- Cześć - powiedział. - Ashley przygotowuje śniadanie. Co chcesz? Musli na mleku czy grzanki z masłem orzechowym?

Wyjęła grzebień i odwróciła się do lustra, by uniknąć wzroku kochanka.

- Muszę iść, Jack.

Stanął za nią, ich spojrzenia spotkały się w lustrze.

- Jest niedziela - przypomniał. - Walentynkowa go-rączka już się przewaliła.

- Mam u siebie straszny bałagan/papierkową robotę...

Jack odwrócił ją ku sobie, odebrał grzebień i rzucił go na łóżko. W jego oczach dojrzała niepokój.

- Myślałem, że ostatniej nocy uporaliśmy się już z tym „nie-wiem-czy-potrafię-cię-kochać”.

- Moje obawy nie dotyczyły seksu.

Jack wsparł się pod boki.

- Jade, w nocy doświadczyliśmy wszystkich rodzajów miłości, jakie istnieją: fizycznej, emocjonalnej, duchowej. To nie było tylko ciało obok ciała, ale także serce przy sercu. Nie czułaś tego?

- To była tylko jedna noc, Jack. Teraz musimy zmierzyć się z resztą naszego życia.

- To prawda. Pamiętaj, że ja już tego doświadczyłem. Byłem żonaty i wiem, że nie każda chwila będzie jak ta noc. Ale mimo to będzie wspaniale. Będziemy sobie dawać rzeczy małe i wielkie, porozumiewać się na głos i bez słów, bo jesteśmy dla siebie stworzeni. Nie widzisz tego?

- Myślę, że powinniśmy jeszcze poczekać - starała się, żeby brzmiało to rozsądnie. - Za kilka miesięcy...

- Jade! - przerwał jej ostro. - Jesteś trzęsącym się ze strachu tchórzem.

- Ja tylko próbuję...

- Nie wciskaj mi głupot - nie pozwolił jej dokończyć. - Wmawiasz mi, że mnie chronisz, a w rzeczywistości chronisz siebie. Jeśli nie wiesz przed czym, to ci powiem: przed ryzykiem. Myślisz, że zamierzam spotykać się z tobą po dwa razy w tygodniu przez całe miesiące? Czekać, aż przykroisz to coś wielkiego i wspańskiego, co stało się między nami, do rozsądnych, według ciebie, rozmiarów? Jesteś w błędzie. Sama powiedziałaś, że miłość nie ma nic wspólnego z rozsądkiem. Nie pamiętasz?

- Miłość i życie to nie to samo!

- Mam inne zdanie. Miłość i życie to jedno i to samo. Miłość to życie, a życie to miłość. Biedna jesteś, skoro tego nie rozumiesz.

Nie rozumiała. Patrzyła na Jacka jak na obraz z dalekiego kosmosu przesłany teleskopem Hubella. Chciała ją potrząsnąć albo ponownie się z nią kochać - tak długo, aż pojmie jego argumenty. Wiedział jednak, że żaden z tych sposobów nie poskutkuje, więc pozostało mu tylko jedno. Podał Jade torebkę.

Wzięła ją i wybiegła.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dzieci Jacka nie odzywały się do niego.

Ashley, usłyszawszy, że nie wiadomo, czy Jade w ogóle wróci, wybuchnęła płaczem i zamknęła się w swoim pokoju.

Andy wykazał się twardszym charakterem.

- Co ty jej zrobisz? - dopytywał.

- Nic. Nie mogliśmy dogadać się co do paru istotnych rzeczy.

- Zawsze przecież namawiasz ludzi do kompromisu

- nie dawał za wygraną chłopiec.

Pewnie, myślał gorzko Jack. Pamiętają o moich naukach tylko wtedy, kiedy mogą wykorzystać je przeciwko mnie.

- Jest jednak parę sytuacji, kiedy nie można iść na kompromis, synu. Szczególnie, kiedy zamierzasz przeżyć z kimś resztę życia.

- O jakie sprawy chodzi?

- Na przykład, jak kochać się nawzajem.

- Przecież kochasz nas przez cały czas. To chyba samo przychodzi. - Andy był wyraźnie zdziwiony.

Jack poczuł się niezmiernie wdzięczny za te słowa otuchy.

- Tak, ale ona uważa, że nie byłaby do tego zdolna, bo nigdy nie miała ani męża, ani dzieci.

- Chcesz powiedzieć, że kochałaby ciebie, gdyby nie my?

- Nie - Jack szybko zaprzeczył, widząc, że Andy poczuł się urażony taką ewentualnością. - Myślę, że jest odwrotnie: ona was kocha i poradziłaby sobie z tym wszystkim, gdyby nie ja.

- W takim razie odeślemy cię do babci.

Jack zwinął tylko niedzielną gazetę i żartobliwie dzielił nią syna po głowie.

Tymczasem w salonie pojawiła się Ashley. Ubrana była, jak przystało w niedzielę, odświętnie, przynajmniej w jej mniemaniu. A więc - w pożyczone od przyjaciółki trykot i spódniczkę baletnicy oraz papierową koronę od Burger Kinga. Oparła łokieć o blat kuchennego stołu i spojrzała na ojca z wyrzutem.

- Jestem na ciebie wściekła - zakomunikowała.

- Nie żartuj. Nie mam pojęcia, dlaczego.

Dziewczynka przyjrzała się ojcu podejrziwie.

- No co, wesoło ci? - zapytała.

- Zupełnie mi nie dośmiechu. Chcecie coś na lunch?

- Nie. Ja chcę Jade - naburmuszyła się Ashley.

- Ja też - przyznał Jack - ale nie ode mnie to zależy.

- Wiem, dlaczego jest na nas wściekła - powiedziała dziewczynka.

- Nie jest zła ani na ciebie, ani na Andy'ego - sprostował - tylko na mnie.

- Wiem, dlaczego - powtórzyła Ashley z uporem.

- To powiedz.

- Bo nic od nas nie dostała na walentynki.

- No jasne! - Andy poderwał się gwałtownie. - Co

można by jej dać na dowód, że naprawdę ją kochamy i że odpowiada nam jej miłość?

Jack popatrzył na dzieci i uśmiechnął się do siebie. Z wolna zaczynał układać mu się w głowie pewien scenariusz. Był dumny z własnych dzieci jak paw. Są naprawdę błyskotliwe i potrafią zainspirować do działania. Ten pomysł zawdzięczał właśnie im.

Jade z zapamiętaniem odkurzała pojemniki na przyprawy stojące na kuchennej półeczce. Dziwna robota jak na niedzielne przedpołudnie, ale wcześniej zdążyła już posprzątać biuro, wypełnić zamówienia na nowe bibułki i wstążki, powycinać bileciki i uzupełnić wszelkie zaległości związane z rachunkami i podatkami. Kiedy tylko przedstawiała się krzątać, oczyma duszy widziała Jacka i jego dzieci.

Opuszczając dziś rano ich dom, ucałowała je w przełocie, wyjaśniła, że ma w domu robotę, i uciekła do samochodu.

Ciągle jeszcze widziała ich zawiedzione buźki i serce krwawiło jej z tego powodu. Intuicja podpowiadała, że oto stało się coś złego, że szczęśliwy świat, który sobie wymarzyły dla nich czworga, już nie istnieje.

Czyżby z jej winy?

Powtarzała sobie bez końca, że próbowała właśnie ich bronić, lecz zaraz pojawiał się obraz Jacka: zaciśnięte szczęki, gniewne oczy, w których nie było przebaczenia. I słowa, które mówiły, że nie potrzeba mu ochrony, lecz miłości.

Właśnie zabierała się za czyszczenie abazurów, kiedy

rozległ się dzwonek u drzwi. Otworzyła i na progu ujrzała drobną siwowłosą kobietę w czarnym płaszczu, wygniecionym welwetowym kapeluszu i adidasach na nogach. Starsza pani trzymała w ręku koszyk z kociętami, a za nią stała jej córka, ta sama, która zleciła Jade zakup.

Wręczyły Jade koszyk, a ta pogładziła pieszczośliwie dwa malutkie łebki.

- Kotki to był idiotyczny pomysł! - oznajmiła kobieta w adidasach. - Jak osoba w moim wieku może chcieć je karmić czy z nimi łązić. Miałam ochotę na nową torebkę albo talon na zakupy u „Denny'ego”. - Spojrzała na córkę z niesmakiem. - A dostałam kotki! Proszę - znów zwróciła się do Jade - odnoszę je z powrotem. Nie mam dla nich czasu ani cierpliwości. Chcę w zamian torebkę. - Pokazała tę, z którą przyszła. - Może być taka jak ta albo nieco większa. Wie pani, kiedy jem lunch, połowę zabieram do domu na kolację, więc muszę mieć miejsce w torbie. Dziękuję. Chodźmy, Susan. - Ruszyła przodem w kierunku windy.

Susan uśmiechnęła się przepraszająco do Jade.

- Już nie mogę z nią wytrzymać - zwierzyła się cicho. - Mieszka sama w ślicznym domku nad morzem, ale absolutnie nic nie jest w stanie sprawić jej radości. Nie pozwoliła mi posadzić kwiatków, bo trzeba samemu je podlewać albo kogoś do tego wynająć. Pies odpada, bo szczeka. Myślałam, że może koty będą odpowiednie, bo potrafią same się sobą zająć... - westchnęła i obejmowała się przez ramię. Matka była już przy windzie i przyciskała guzik. - Powinnam chyba znać ją lepiej. Nigdy

nie umiała nikogo pokochać, bała się swoich uczuć, więc jej reakcja była do przewidzenia.

Susan - którą wcześniej tak bardzo podekscytowała myśl o kotkach jako prezencie walentynkowym - wzbudziła sympatię Jade. Dlatego teraz uśmiechnęła się do niej życzliwie.

- Znajdę dla niej wspaniałą torbę. Chce pani coś innego czy mam włożyć do środka talon na upominek?

- Tak, proszę, to chyba będzie najlepsze - Susan roześmiała się z zakłopotaniem. - Ale wie pani co? - dodała, gdy już miała się pożegnać. - Mimo wszystko nie zamierzam się poddawać. Zbliży się Wielkanoc i Dzień Matki. Niech mi pani pomoże znaleźć dla niej cokolwiek, dzięki czemu trafię do jej serca. Spróbujemy jeszcze raz, zgoda?

- Pomyślę o tym - obiecała Jade, choć mocno wątpiła, czy jest to możliwe.

- Dziękuję. - Susan pogłaskała kociaki na do widzenia i odeszła.

Jade usiadła na podłodze, spojrzała na puszyste kocięta, które wytoczyły się z koszyka, i po raz pierwszy od chwili, kiedy wyszła od Jacka, na jej ustach zagościł uśmiech. Przyglądała się rozdokazywanym maluchom, zdziwiona, jak można nie pokochać takich słodkich stworzeń. Raptem uśmiech zgasł na jej twarzy.

A co ona sama zrobiła tego ranka?

Też wzbraniała się przed miłością. Też bała się, że nie będzie w stanie jej poddać. Po latach samotności nie była pewna, czy wystarczająco dużo zdoła ofiarować, postanowiła więc nie ofiarować nic.

Nagle wyobraziła sobie, że może spędzić resztę życia w pięknym domku nad morzem, w którym nie będzie ani kwiatów, ani kotów, ani psa. Ba, nie będzie miała nawet córki, która spróbuje trafić mimo wszystko do jej serca.

Nagle wszystko stało się dla niej jasne i wiedziała już, co powinna uczynić. Bała się tylko, że może być za późno, by naprawić swój błąd.

Porwała za telefon i szybko wykręciła numer do Jacka. Po ośmiu sygnałach odłożyła słuchawkę na widełki. Zapewne wyjechali całą trójką, zapominając włączyć automatyczną sekretarkę. A może Jack rozmyślnie nie uruchomił automatu, by nie wysłuchiwać wiadomości, którą, jak się spodziewał, będzie chciała dla niego zostawić?

Próbowała się później połączyć jeszcze kilka razy, ale zawsze bezskutecznie. Czuła się osamotniona i zagubiona, a przy tym nabierała coraz głębszego przekonania, że Jack O'Brian nie chce mieć już z nią nic wspólnego.

Cóż, pomyślała z sadystycznym fatalizmem, przynajmniej zostały mi koty.

O wpół do piątej rozległ się dzwonek u drzwi. Rzuciła się, by otworzyć, jednak po drodze zaplątały się jej pod nogami kocięta.

- Otwarte, Jack!

- To nie Jack. To ja, Ralphie. - Na progu stanął wysoki chłopak w uniformie pościga. Widząc, że Jade, która podniosła z ziemi poturbowane, lecz na szczęście całe i zdrowe kocięta, ma zajęte ręce, wetknął jej tabliczkę z listą zleceń pod pachę i odebrał od niej dwa puszyste kłębki.

- Ja potrzymam, a pani zechce pokwitować odbiór tej koperty, dobrze?

Zdziwiona, zmieszana i rozczarowana, że to nie Jack, Jade odłożyła kopertę na najbliższe krzesło, po czym złożyła podpis, odebrała od chłopca zwierzaki i zamknęła za nim drzwi.

Po chwili siedziała już na kanapie, obracając w palcach niespodziewaną przesyłkę. Czyżby kolejna reklamacja od niezadowolonego klienta?

Rozdarła kopertę i wyjęła z niej płaskie kwadratowe pudełko. Na wieczku widniało złote „B” - symbol sklepu Blumenthala.

Poczuła przyspieszone bicie serca. Powoli otworzyła puzderko i wydała głośny okrzyk radości i zdumienia. Na wyściółce z połyskliwego atłasu leżał prosty, złoty breloczek, a do niego przyczepiony był klucz. Wiedziała, do jakich drzwi on pasuje, rozpoznała go bowiem od razu. Brelok ozdobiony był niewielkim brylantem w kształcie serca.

Drżącymi dłońmi rozchyliła kopertę i znalazła w niej bilecik.

Droga Jade!

Przesyłam ci klucz do naszego domu, do naszego wspólnego życia i do naszych serc. Proszę, wejdź.

Kochamy cię!

Jack, Andy i Ashley

PS Aha, pukać trzy razy.

Zapadł wieczór. Jack wciąż czekał na znak życia od Jade. Krążył nerwowo po salonie, a dzieci nie odstępowały go na krok.

- Co zrobimy, jeśli nie wróci? - dopytywała się Ashley.

- To proste - wyręczył Jacka Andy. - Pojedziemy do niej. Prawda, tato?

Jack zaczynał już wierzyć, że istotnie jest to jedyny sposób. Zazwyczaj bywał cierpliwy, lecz teraz tracił już i cierpliwość, i nadzieję.

- Prawda, Andy. - Stanowczym krokiem ruszył do szafy. - Zakładajcie kurtki. Pojedziemy... - przerwał nagle, słysząc samochód Jade na podjeździe^

Dzieci rzuciły się do okna.

- To ona! Przyjechała, tato! - wrzasnął Andy. Ashley pobiegła do drzwi, ale Jack ją powstrzymał.

- Nie wiemy jeszcze, dlaczego przyjechała - zauważył rozsądnie. - Może chce mi oddać breloczek. Poczekajmy.

- Idzie ścieżką - raportował Andy od okna. - I... i coś niesie.

- Co?

- Wygląda to jak jakiś koszyk.

Wspaniale, pomyślał Jack. On tu czeka na deklarację miłości, a ona zjawia się z ciastkami.

Ashley wepchnęła się przed brata, przyklejając nos do szyby.

- Tato, zaraz zapuka!

Od progu dał się słyszeć jakiś hurkot, ale bynajmniej nie pukanie.

- Co się tam dzieje? - Jack domagał się meldunków od syna.

- Nie widzę, słupek zastania.

Powstrzymując się całym wysiłkiem woli, by nie po-

biec do drzwi i nie otworzyć ich na oścież, Jack skrzyżował ręce na piersi i stał bez ruchu.

I wtedy usłyszał ów cudowny dźwięk, którego oczekiwał od chwili, gdy ją zobaczył. Dźwięk przekręcane go w zamku klucza. Jego klucza. Jej klucza. Ich klucza.

Przekręciła go pewnie, a potem zapukała. Trzy razy!

Po chwili drzwi się otwały i stanęła w progu. W ramionach trzymała kosz, który zdawał się być jej własnym życiem. Tańczył i podskakiwał, wreszcie potoczył się na podłogę, a ze środka wysypały się dwie szare kulki.

- Kociaki! - wrzasnęła zachwycona Ashley i rzuciła się w pogoń z nimi.

Jack spojrział na Jade. Wyglądała, jakby właśnie stoczyła ciężką bitwę: włosy miała zmierzwiłone, płaszcz zsunięty z jednego ramienia, torebkę otwartą, w rękę trzymała klucz.

Kiedy zobaczył jej uśmiech - promienny i kochający - serce podskoczyło mu z radości.

- Cześć, kochanie. Jestem - powiedziała wesóło.